

Prenumerata w Warszawie:

Rocznie . . . Rs. 7 kop. —
 Półrocznie . . . " 3 " 50
 Kwartalnie . . . " 1 " 75
 Miesięcznie . . . " — " 60

Za zmianę adresu dopłaca
 się kop. 20.

Cena pojedynczego nume-
 ru bez dodatku kop. 20.

GŁOS

Prenumerata na Prowincyi
i w Cesarstwie:

Rocznie . . . Rs. 9 kop. —
 Półrocznie . . . " 4 " 50
 Kwartalnie . . . " 2 " 25

Za Granicą:

Rocznie . . . 12 guld. — 18 m.
 Półrocznie . . . 6 " 9 "

Ogłoszenia przyjmuje księ-
 garnia T. Paprockiego i S-ki
 pokop. 1C za wiersz petitowy
 lub za jego miejsce. Rekla-
 my po kop. 25.

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCJA: Nowy - Świat Nr. 21 m. 20.
Ekspedycja główna: Nowy - Świat Nr. 41,
 w księgarni Teodora Paprockiego i S-ki.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie
 jeden zeszyt dzieł naukowych.

TREŚĆ: Po śmierci Parnella przez J. L. P.
 Praca korepetytorska i jej wynagrodzenie, przez Wiktora
 Kazimierza Sławomskiego.
 Z wystawy berlińskiej, przez W. R.
 „Pasionnel“ (zbiór opowiadań) Kazim. Hulewicza, przez
 W. Jabłonowskiego.
 Głosy: Ceny chleba. — Projekty ulg. — Z Brazylii. — Ko-
 lonizacja niemiecka. — Z Warszawskiego dziennika.
 Z kraju, przez J. Nieborskiego.
 Korespondencja: przez kobietę z Obrzydłowa.
 Przegląd społeczny: Łódź, Wąchock, Z pod Serocka,
 Z Sandomierza, Mińsk gub., Równo, Grodno, Petersburg.
 Przegląd polityczny.
 Kronika powszechna.
 Kronika literacka.
 Ogłoszenia.
 Odcinek: Filipek, (dok.) przez Kazimierza Glińskiego.
 W dodatku: Łużyce, wrażenia z podróży, przez Wilhelma
 Jelskiego Arkusze 3-ci.

Od Redakcyi.

Wyszło z druku nakładem naszym dziełko

Dawida G. Ritchie'go

„Darwinizm i nauki społeczne”

w przekładzie J. K. Potockiego.

TREŚĆ: Walka o byt u Malthusa i Darwina. Jak pojęcie
 to stosowanym jest w naukach społecznych. Czy walka
 jest dobroczynną? — Teoryja ewolucyi w zastosowaniu do
 społeczeństwa, przez Darwina, Straussa, H. Spencera,
 H. Maine'a i Cotta. — Dwuznaczność wyrażenia: „osta-
 wanie się najzdadniejszych.“ Złożoność ewolucyi społe-
 ecznej. — Czy doktryna ewolucyi popiera arystokrację? —
 Czy doktryna ewolucyjna usprawiedliwia zasadę *laissez
 faire*? — Walka o byt pomiędzy idejami. Świadomość ja-
 ko czynnik ewolucyi. Świadczenie prof. Huxleya i Straus-
 sa. Dwuznaczność słowa „przyroda“. Odmiany świado-
 me. — Dla czego ideje utrwalają się w instytucjach? —
 Zwyczaj, jego użytek i nadużycia. Instytucje i czynnik
 społeczny zazwyczaj pomijane są w pospolitem uwzględ-
 nianiu doktryny dziedziczności. — Rozważenie poglądów
 Galtona. — Zdanie samego Darwina. — Czy formuły bio-
 logiczne są w stanie wyrazić społeczną ewolucję. —
 Zastosowania: 1) Kwestyja pracy, 2) Położenie kobiet,
 3) Kwestyja zaludnienia.

Cena kop. 30.

Po śmierci Parnella.

Przed kilkoma dniami niezliczone tłumy ludu
 odprowadziły na miejsce wiecznego spoczynku
 zwłoki „nieukoronowanego króla Irlandyi“ Ka-
 rola Parnella. Orszak pogrzebowy ciągnął się
 na przestrzeni kilku mil angielskich. Tłum, jak
 donoszą telegramy, znieważał moc-carthystów,
 uważając ich za wrogów Parnella, jakkolwiek

sama obecność ich na pogrzebie świadczy, że
 wobec mogiły nagle zmarłego przewodcy *home-
 ruler*'u zamilkły na chwilę wszystkie waśnie stron-
 nicze. Zachowanie się tłumów dowodzi, że dzien-
 nikarskie rozprawy o upadku popularności Parnel-
 la, o bankructwie jego polityki — nie miały żadnej
 poważnej podstawy. Fakty niepowodzenia wybor-
 czego kilku kandydatów parnelistowskich nicze-
 go nie dowodzą, zwłaszcza wobec taktyki angli-
 ków, którzy dawali swe głosy kandydatom prze-
 ciwnego stronnictwa i wobec nacisku, jaki z dzi-
 wną zaciekleścią wywierało na wyborców duchow-
 ienstwo katolickie, a raczej wyższa hierarchia
 duchowna. Ale gorzyc ostatnich chwil Parnella
 osłodził fakt, jeżeli o nim wiedział, zupełnie nie-
 spodziewany. Niedawno powrócił do Irlandyi
 z Ameryki, urągając powadze sądów angielskich,
 które go przed 26 laty na śmierć skazały, znany
 Stephen, założyciel związku „fenianów“. Otóż
 ten wódz „nieprzejednanych“ oświadczył publi-
 cznie, że po długim doświadczeniu doszedł do
 przekonania, iż wybrana przez Parnella droga
 działania politycznego za pomocą szeroko roz-
 winiętej agitacji ludowej właściwszą jest, aniżeli
 taktyka spisków, a raczej jest jedynie w obec-
 nych okolicznościach właściwą. W sporze, jaki
 dzieli dwie partyje irlandzkie, Stephen wyraźnie
 i stanowczo po stronie Parnella stanął.

Dawno już Anglicy podejrzewali politykę Par-
 nella o dwulicowość i posądzenia jego o stosunki
 z fenianami, głównie zaś z O'Donnowanem Ros-
 są nie były zupełnie bezpodstawne. *Times* prze-
 grał proces, gdyż sąd uznał listy Parnella za sfał-
 szowane, czytając jednak sprawozdanie z pro-
 cesu i znając działalność polityczną wodza *home-
 rulerów*, dochodzi się do przekonania, że podob-
 ne listy mogły być przezeń pisane, a przynaj-
 mniej, że treść ich nie przeczyła wcale treści jego
 polityki. Trudno przypuścić, żeby to była do-
 browolna umowa, działał tu może jedynie in-
 stynkt polityczny, ale w taktyce dwóch niby to
 wrogich sobie partyj irlandzkich panowała dzi-
 wna zgodność. Kiedy rząd angielski zaczynał
 stosować środki represyjne względem *home-ru-
 lerów*, ci opierali się wprawdzie energicznie i sam
 Parnell nawet dwukrotnie był więziony, nastę-
 pnie jednak jakby usuwali się na plan drugi, ak-
 cyję zaś podejmowały żywioły skrajniejsze. Na-
 stępowały więc zamachy, zabójstwa agrarne
 wielkie „bojkotowania“, słowem wszystkie te
 środki, które rzucały postrach na Angliję i para-
 liżowały działalność rządu angielskiego nie tylko
 w Irlandyi, ale i u siebie w domu, a nawet w po-
 lityce zewnętrznej.

Jeżeli polityka zewnętrzna Anglii tak jest nie-
 zdecydowaną, do zbytku ostrożną, a nawet lękli-

wą, to oprócz innych względów, ważną rolę gra
 w tem troskliwie ukrywana wprawdzie, ale nie-
 wątpliwa obawa opozycyi irlandzkiej. Po pró-
 bach represyi, po wyczerpujących siły zapasach
 z przeciwnikiem, którego nie można było zdła-
 wić, bo nie występował zbiorowo, jawnie do
 boju w otwartem polu, rząd angielski wracał
 znowu do polityki ustępstw, a wtedy usuwali się
 nieprzejednani; ster akcyi obejmowali *home-
 rulerzy* i zdobywali coraz to większe rozszerze-
 nie autonomii, coraz to ważniejsze reformy.
 W ten sposób Irlandyja w ciągu ostatnich lat
 dziesięciu zyskała bardzo wiele, a co zyskała,
 wyłącznie prawie Parnellowi zawdzięcza, gdyż
 on to był właśnie twórcą tej taktyki i on ją sto-
 sował z niezwykłą zręcznością i odwagą. Jeden
 krok fałszywy mógł narazić powodzenie całej
 sprawy a kroku takiego ustrzedz się nader tru-
 dno, kiedy do akcyi politycznej wciągnięte są
 całe masy, kiedy grają namiętności ludu, zwłasz-
 cza tak lekkomyślnego i zapalnego z tempera-
 mentu, jak lud irlandzki. Ta umiejętność powo-
 dowania masami, w dodatku tak mało karnymi,
 dowodzi najlepiej jak znakomitym politykiem
 był Parnell. Miał on talent prawdziwego wod-
 za — umiejętność poruszania wielkich mas i kie-
 rowania nimi. Jeżeli można użyć tego poró-
 wnania, był to wielki wódz ruchawki, gdy inni
 politycy, mający w swem ręku potężny aparat
 władzy państwowej, kierują regularnymi, dobrze
 zorganizowanymi armijami. A jednak pod wo-
 dzą Parnella luźna ruchawka irlandzka działała
 nieraz sprawniej i zgodniej, aniżeli karne i wy-
 ćwiczone zastępy polityczne.

Ażebymy ocenili talent polityczny i cha-
 rakter Parnella, trzeba pamiętać, z jakich żywio-
 łów składała się ta armija, której przewodził.
 Ludność irlandzka, lekkomyślna, słaba i ciemna,
 znieprawiona była w dodatku odwieczną
 nędzą. Niestały i burzliwy temperament cel-
 tycki, wobec którego warcholstwo słowiańskie
 wydaje się wzorem karność, wielce utrudniał
 zadanie. Tradycja polityczna wygasła zupełnie,
 parlament narodowy, zniesiony w początkach
 bieżącego stulecia, był posłusznym narzędziem
 w ręku Anglików i pamięć o nim budziła raczej
 nienawiść i wzgardę. Fanatyzm religijny był
 potężnym narzędziem, ale w ręku duchowien-
 stwa, które miało nieraz własne cele polityczne
 i częściej było czynnikiem rozbijającym jedność,
 aniżeli łączącym. Dziwić się można, że na takim
 gruncie, w takich warunkach wyrosła zorganizo-
 wana partyja, która szachowała działalność po-
 lityczną wielkiego mocarstwa, rozbijała kombi-
 nacje parlamentarne, zmieniała nawet gabinety
 i zdobywała dla Irlandyi coraz to nowe prawa.

W ostatnim roku nastąpił jednak rozłam w jednolitem z pozoru stronnictwie irlandzkim, powaga Parnella została zachwiana i szereg niepowodzeń zaćmił ostatnie chwile jego życia. Ale rola jego polityczna nie była skończona i rozmaite fakty pozwalają przypuszczać, że nowe tryumfy zmazałyby wspomnienia niepowodzeń. Umarł Parnell w pełni wieku męskiego, w pełni sił umysłowych, w 46 roku życia, kiedy większość mężów stanu zaczyna dopiero kariere polityczną.

Znieprawiona wyobraźnia dziennikarzy brukowych, szukająca przyczyn wielkich wypadków w drobnych skandalach, w tajemnicach przedpokoju lub alkowy, przypisuje rozgłosnemu procesowi rozwodowemu zachwianie powagi, a jak niektórzy stanowczo decydowali, upadek Parnella. Zaznaczaliśmy już kiedyś, jak fałszywym jest mniemanie, że opinia publiczna w Anglii jest nieubłagana surową dla błędów życia prywatnego ludzi wybitnych. Haniebne nieraz skandale nie przeszkadzały angielskim mężom stanu zajmować wysokich stanowisk i wywierać olbrzymiego wpływu. Nie będziemy przytaczać dawniejszych przykładów Foxa, Sheridana i t. d. zaznaczymy tylko, że lord Palmerston, który w ciągu kilkudziesięciu lat posiadał wielkie wpływy, był znanym ze skandalicznych miłostek rozpustnikiem. Zresztą Parnell nie dbał o opinię Anglii, a irlandzka dla takich wykroczeń, o jakie go oskarżano, jest bardzo pobłażliwą.

Proces rozwodowy był tylko pretekstem, który wybrano w braku innego. W pierwszej chwili zaraz, kiedy Parnell i Gladstone wystąpili z objaśnieniami, o procesie prawie nie wspomniano, a natomiast coraz wyraźniej zaznaczała się różnica poglądów politycznych. Osia działalności politycznej Parnella było stworzenie samodzielnej partii irlandzkiej. Do chwili wystąpienia jego z nowym programem i z nową taktyką parlamentarną, posłowie irlandzcy stanowili tylko grupę oddzielną w liberalnej partii angielskiej. Grupa ta w pewnych wypadkach głosowała niezależnie, nawet przeciw swej partii, ale pozostawała z nią zawsze w pewnym związku. Par-

nell dopiero wyraźnie postawił zasadę, że stronnictwo irlandzkie stanowi niezależną całość i nie krępuje się żadnymi zobowiązaniami, działając w miarę potrzeby z liberałami lub z zachowawcami, a raczej przeciw liberałom lub przeciw zachowawcom. Żadne względy uboczne nie powinny taktyki tej zmieniać, bywały przykłady, że home-rulerzy, chcąc zmusić ministeryjum do ustępstw w sprawie samorządu Irlandyi, głosowali przeciw reformom ogólnym, nawet pożytecznym dla niej. Nie pomijając reformy stosunków rolnych, owszem, robiąc wszystko, co było można, dla pożądanego jej dokonania, stronnictwo home-rule'u postawiło jednak na pierwszym planie zupełny samorząd Irlandyi z własnym parlamentem i do tego celu przedewszystkiem dążyło. Pozyskanie mas ludowych dla tego programu wydawało się niezmiernie trudnym, a jednak poszło o wiele łatwiej, aniżeli pozyskanie inteligencji irlandzkiej.

Ta ostatnia z języka, z wychowania, ze stosunków i poglądów jest zupełnie prawie angielską, zachowuje tylko szczere sympatyje irlandzkie. Dziennikarze, literaci, jak np. Mac-Carthy, adwokaci i t. d. żyją w społeczeństwie angielskim, przejmują się jego interesami i nieraz zrozumieć nie mogą tej polityki, którą pojmuje każdy zwyczajny farmer w Irlandyi dla tego, że jest do szpiku kości irlandczykiem.

Rozłam, jaki nastąpił w stronnictwie irlandzkim, spowodowała właśnie ta inteligencja. Różnica między parnelistami i mac-carthystami polega na tem: czy posłowie irlandzcy w parlamencie zachowają stanowisko zupełnie niezależne, jak chciał Parnell, czy też działać będą w sojuszu z Gladstone'm i liberałami. Poniekąd jest to ta sama różnica, jaka istnieje między młodo i staro-czechami. Albo, biorąc bliższe porównanie, czy np. posłowie ruscy w sejmie lwowskim stanowią odrębną grupę, czy też wejdą do szeregów odpowiednich stronnictw polskich.

Trudno przewidzieć, czy ze śmiercią Parnella zniknie rozłam i czy stronnictwa irlandzkie połączą się znowu. Mówią, że na czele stronnictwa

stwa stanie Dillon, który wraz z O'Brienem podzielał w zasadzie politykę Parnella, chociaż odłączył się od niego ze względów taktycznych...

J. L. P.

Praca korepetytorska i jej wynagrodzenie.

Charakterystyczną cechą współczesnego nam ustroju kapitalistycznego z jego pieniężną ogólną formą wartości — jest z jednej strony koncentracja produkcji i zupełne sprowadzenie do jednego mianownika wszelkiej pracy społecznej, zupełne zrównanie jej pod względem sposobu wynagrodzenia, z drugiej zaś strony ustrój ten społeczny znamionuje konkurencja i wyzysk. Zarazem rysem niemniej znamionnym jest stopniowy zanik arystokratycznego poglądu na pracę, — poglądu, podług którego jedna praca społeczna poniża, zaś inna uszlachetnia człowieka. Upadek tego poglądu zaczyna się już od zwycięskiego wtargnięcia na arenę dziejową, na schyłku zeszłego stulecia „trzeciego stanu“, od czasu dojścia do władzy burżuazji. Jednakże zmiana poglądu na pracę nie wpłynęła wcale na poprawę jej warunków i wynagrodzenia, gdyż nie ma obecnie gałęzi pracy, gdzie nie panowałby wyzysk. W dzisiejszym więc ustroju społecznym bezowocnym było by szukanie pracy, którą by otaczał jakiś urok — szacunek, — nie pozwalający na jej wyzyskiwanie. Nie stanowi też w danym razie wyjątku i najwięcej godna tego uroku *praca nauczycielska*. — W zakresie pracy fizycznej nieraz już była poruszona kwestya wyzysku, mamy też szczegółowe dane o nim; w zakresie pracy umysłowej także nie leży ta kwestya odłogiem, najmniej jednak zajmowała się dotąd statystyka wynagrodzeniem pracy nauczycielskiej. Być może powodem tego była trudność określenia wynagrodzenia i różnorodność umowy, nie dającej się często ująć w niezbędne dla wyprowadzenia wniosków formuły, wreszcie przyczyniała się też do tego w wielu razach trudność zabrania potrzebnych danych. Bądź co bądź, wiemy tylko, że nauczyciele, — względnie nauczycielki, — są płacni źle, że często wynagrodzenie wynosi 15 lub 10 kop. za godzinę pracy, — lecz bliższych danych statystycznych mamy niewiele. Jeszcze więcej daje się zauważyć ten brak danych, gdy chodzi o wynagrodzenie młodzieży uczącej się, a zarabiającej udzielaniem lekcyj, mowa tu o korepetycjach uczniowskich i studenckich.

FILIPEK.

(Dokończenie).

— Zegarek, albo zdławie, jak psal — krzyknąłem.

Na takie dictum od razu mi oddał mojego srebrnego staruszka i rad, żem go puścił swobodnie, skoczył w bramę kamienicy, gdzie mieszka Pokropiński.

— A cóżto za zegarek na biurku? — odezwałem się. Zdawało mi się, że twój?

Filip spojrzął i stanął, jak osłupiały.

— A mój! — wyszeptał.

To mówiąc, wy dostał z kamizelki na złotym łańcuszku piękny, złoty zegarek.

— Ładna historia! — krzyknął. To nie mnie złupiono, ale ja ograбіłem kogoś. Ten nieborak, przerażony utratą życia, pozbył się swojego skarbu byle ująć cało.

Zaczął przypatrywać się dewizce ze wzrastającym coraz przerażeniem.

— Jezus Maryja! — wrzasnął. To zegarek Pokropińskiego — znam doskonale!... Tak, tak, tak — teraz przypominam sobie ruchy uciekającego niby złodzieja... Pokropiński!... Sto talarów, że on!

— Cóż teraz uczynisz? — zapytałem, śmiejąc się.

— Musisz natychmiast jutro pójść do niego, przeprosić w moim imieniu, zegarek oddać i wytłumaczyć rzecz całą prostym wypadkiem niefortunnego otarcia się o mnie, które zrodziło we mnie myśl złodziejstwa.

— Możeby lepiej było, gdybyś sam poszedł? — zauważyłem.

— A ty od czego jesteś? — zapytał, z góry patrząc na mnie.

— To prawda! — szepnąłem.

Na drugi dzień udałem się do Pokropińskiego, który dowiedziawszy się o awanturycznej omyłce, niesłychanym uniósł się gniewem. Daremne były wszelkie moje przedstawienia, śmiertelną odgrażał się zemstą.

— Kiep on, powiedz jemu? — zawołał Filip, wysłuchawszy mojej relacji. Tak jak ciocia odsadziła go od panny Adolfiny, ja go odsadzę od wszelkich mściwych zamiarów.

Od tej chwili, Pokropiński unikał starannie spotkania się z Filipem, choć ten mu sam w oczy wlażył. Spotkali się wreszcie *bec a bec* koło fontanny w Saskim ogrodzie, ale Pokropiński powitał go z niebywałą uprzejmością, nic a nic o wypadku nie wspominając.

— Widzisz, jaki on straszny? — śmiał się Filip. Nedorajda, do ciebie podobny! W buciem palcem kiwać potrafi, ale postaw się ostro — to warować zacznie.

Upłynęło od powyższych wypadków dwa miesiące b izko. Ja zupełnie na fagasa wyszedłem, a Filipek stał się panem mojej osoby i wszystkiego, co do niej należało. U panny Adolfiny bywał codziennym niemal gościem, ale z powodu żyjącej zawsze cioci, która do swojego Płocka wróciła, ze stanowczem słowem zwlekał.

Nastały sierpniowe upały, noce parne, które dla mnie szczególnie do niewytrzymania były. Kanapa moja, wydrażona jak łódź rybacka — piekła mnie poprostu! Chciałem już sobie jakiś tapczan sprowadzić, ale Filip nie pozwolił, nie przez wzgląd na zbytek, lecz żeby niewdzięczny mebel nie defigurował jego mieszkania. Na dobitek wszystkiego, Filipek nauczył się cmoktać fajkę i czasem w nocy z niej kurzył, każąc, oczywiście, czynność nakładania takowej mnie! pełnić. To mię nakoniec oburzyło! Wstawaj w nocy, wylaż z głębin kanapy, fajkę po ciemku nakładaj!...

Zaprotestowałem.

— Czy chcesz, ażebym się wyniósł? — sucho ale wyniosłe zapytał Filipek.

Zawahałem się z odpowiedzią.

— Faj-ki — rzekł krótko.

Napchałem pełną lulkę — podałem, chciałem zapalić, ale Filip zapałkę z rąk mi wydarł.

— Ruszaj spać! — odezwał się.

Nie robiąc żadnego szmeru, poszedłem do swojej kanapy, ułożyłem się i słyszałem, jak Filipek pykać zaczął.

Kwestyja ich wyzysku nigdy dotąd poruszaną nie była, a jednak ma ona doniosłe znaczenie ze względu na to, że w danym razie wyzysk dotyczy sił młodych, rozwijających się dopiero, że wobec niskiego wynagrodzenia zmuszeni są korepetytorzy więcej godzin poświęcać pracy zarobkowej, co w wielu razach utrudnia im, a nawet uniemożliwia pracę nad sobą, nad rozwojem umysłowym. — Z tych względów każde dane statystyczne w tej kwestyji są materiałem ogromnie cennym, szczególnie zaś pierwsze prace na tem polu.

Do takich należy bezwątpienia artykuł p. Kazimierza Krauzy, byłego ucznia gimnazjum radomskiego: „O wynagrodzeniu korepetytorów w Radomiu“, drukowany w „Gazecie Radomskiej“ w Nr. 70 — 74 (od 31 sierpnia do 12 września t. z.).

Dane statystyczne, zawarte w tej pracy, obejmują tylko gimnazjum radomskie, a przytem tylko rok szkolny 1890/1, i dotyczą uczniów 4-ch wyższych klas tego gimnazjum. W klasach tych było ogółem 155 uczniów, a mianowicie w kl. VIII — 26; VII — 24; VI — 35; V A. (oddział pierwszy główny) — 40-tu; V B. (oddział równoległy) — 30. Z tej liczby autor zdołał zebrać dokładne o 103 uczniach, t. j. o 2/3 ogólnej ich liczby. — Nie mogąc zebrać danych zupełnych, autor w pracy swej przyjmuje stale niewiadomą trzecią część, jako proporcjonalną do znanych mu dwóch, i aby prawdopodobieństwo to uczynić ściślej, zamyka swe proporcjonalne obliczenia w obrębie jednej i tej samej klasy, a nie wszystkich 4-ch klas wyższych.

Tą zasadą kieruje się autor przedewszystkiem przy poznaniu ogólnej liczby korepetytorów przy czem % korepetytorów w kl. V A., co do której posiada zaledwie parę danych statystycznych, przyjmuje równym % korepetytorów w kl. V B., wobec zupełnie jednakowych w obydwóch oddziałach warunków korepetycyjnych: uzdolnienia naukowego, oraz pedagogicznego i potrzeby dawania korepetycyj.

Wyliczenia autora dadzą się ująć w taką tablicę:

Klasa	Liczba uczniów o których autor zebrał dane statystyczne.	Liczba korepetytor. między nimi.	% korepetytorów.	Liczba wszystkich uczniów w klasie.	Otrzymana liczba wszystkich korepetytorów w klasie.
VIII	24	15	63%	26	17
VII	18	12	67%	24	16
VI	24	12	50%	35	17
V A	30	12	40%	30	12
V B	—	—	40%	40	16

— Rób ludziom dobrze a masz!... — mrucał pod nosem.

Na drugi dzień dziwnie szorstko ze mną się obchodził. Odliczone na objad pieniądze rzucił mi przez stół, dzień dobry mi nie powiedział, a gdy mu podawałem palto, mruknął:

— Wolałbyś śmiecie z pod łóżka wymieść!

Wyszedł, zatraskując drzwi za sobą — ja wzięłam się do froterki.

Pod koniec sierpnia niezwykły wypadek się wydarzył.

Koło południa jakoś wszedł Filipiek do moje... do swojego mieszkania i wbiegając, od drzwi już zawołał:

— Telegram!

Zerwałem się na równe nogi.

— Co? z kąd?...

— Ciocia umarła!

— A chwała Panu Bogu! — zawołałem, w obie uderzając dłonie.

— Pakuj rzeczy! — grzmiał mój przyjaciel, za godzinę odchodzi parostatek...

Zawinałem się uczciwie i wnet było wszystko do podróży przygotowane. W pół godziny, poczciwy Filipiek z odpływającego statku żegnał mnie, powiewając białą chustką od nosa.

Jakby sto pudów z ramion mi spadło, uczułem się tak lekki, rześki, wesoły, po odjeździe drogiego przyjaciela. Poszedłem zaraz na piwo do Brajbisza, potem na flaki, później do Wode-

Razem więc we wszystkich 4-ch wyższych klasach liczba korepetytorów stanowi 78, czyli 50%, połowę ogólnej liczby uczniów.

Rzeczywiście, zaznacza p. K. Kr., liczba korepetycyj jest określoną tu prawie dokładnie, gdyż w klasie VIII było w samej rzeczy korepetytorów 17, lecz o dwóch nie mógł on zebrać dokładnych wiadomości, to samo było i w klasie VII, gdzie autor wie o takich 4-ch, i w VI, gdzie było takich korepetytorów 3. Liczba więc 78 korepetytorów nie jest daleką od prawdziwej

Z ogólnej więc liczby 78 korepetytorów wie autor o 56, liczba zaś korepetycyj, czyli „umów zawartych między pracodawcą, a korepetytorem“ było 99. Z tych 33 t. j. 1/3 przypada na kl. VIII, 20 na VII, 22 na VI i 24 na V.

Niewielka tylko stosunkowo liczba umów była zawartą na rok cały, większość na parę ostatnich miesięcy dla przygotowania ucznia do egzaminów, na co bezwątpienia potrzeba większej znacznie pracy ze strony korepetytora, niż przy umowie, zawartej na rok cały.

P. K. podaje tabliczkę rozmaitych sposobów umowy, których było 30. Oto ona:

Od godziny	Codziennie							tygod.	Razem
	1/2 godz.	3/4 godz.	1 godz.	1 1/2 godz.	2 godz.	2 1/2 godz.	3 godz.		
Umowa dzienna								2	2
Um. tygodniow.				1					3
Um. miesięczna	4	62	7	6				3	82
Umowa roczna	1	1	5	2	1	1			11
Razem	5	1	67	7	9	1	1	2	3

Warunków 3-ch umów autor bliżej nie zna, wszystkich więc umów było 99.

„Jak widzimy więc przeważa umowa: o godziny dziennie: (70% wszystkich umów), z jednym uczniem (84%), z płacą pieniężną (88%, uiszczaną z dołu (85%). Ta też umowa ma za sobą najdawniejszą tradycję; do najświeższych i najrzadszych należy umowa tygodniowa oraz umowa roczna z wynagrodzeniem pieniężnym“.

Teraz rozpatrzmy wynagrodzenie korepetytorów.

Autor dla łatwiejszego wyprowadzenia wniosków sprowadza różne sposoby i wysokości wynagrodzenia do płacy pieniężnej, uiszczanej co miesiąc, za godzinę pracy dziennie, przy czem nie bierze w rachubę liczby uczniów i klasy.

Wynikiem tego są następujące przeciętne: Przy umowie o 1/2 godz. dziennie, miesięczne wynagrodzenie za jedną godzinę pracy codziennej wynosi

rs. 8 1/2; przy umowie o 1 g. codz. — rs. 6,3; o 1 1/2 godz. codz. — rs. 4,38; o 2 godz. codz. — rs. 4,64.

Oto 4 główne umowy. „Z tych, umowa o 1/2 godz. dziennie wydaje się najkorzystniejszą, i byłaby taką, gdyż pracodawca nie uważa nawet, że płacąc rs. 4 — 5 miesięcznie za 1/2 godz. pracy dziennie, płaci rs. 8 1/2 za godzinę; ale tak nie jest, gdyż korepetycja nigdy prawie nie trwa krócej, jak 1 godz. dziennie, co obniża poziom pracy miesięcznej do rs. 4 — 5 za godzinę. Umowa o 1 1/2, lub 2 godz. dziennie, ma znów tę złą stronę, że zamyla oczy korepetytorowi, który biorąc rs. 10, lub 12 miesięcznie, nie spostrzega, że za godzinę bierze około 5 rs. właściwie, której to zniżki nie wynagradza połączenie dwóch godzin w jednym miejscu, oszczędzając czas na chodzenie. Najkorzystniejszą tedy formą dla korepetytora jest najczęstsza umowa o 1 godz. dziennie, z płacą miesięczną; przy innych formach cenę należałoby ściśle do tego miernika sprowadzić“.

Sposób umowy.	Kwota do wypłaty, za 1 m. datennie.	Ilość wypadków w klasach				Razem.
		V.	VI.	VII.	VIII.	
1/2 god. dz. za 4 rs. mies.	8			1	2	3
3/4 " " 5 " " 10	10				1	1
1 " " 25 " " 3	3	1				1
1 " " 3 " " 3 1/2	3 1/2	1		2		3
" " 3 1/2 " " 4	4	10	3			13
" " 4 " " 5	5	2	4	5		11
" " 5 " " 6	6		2	2	6	10
" " 6 " " 7	7			2	5	7
" " 7 " " 8	8			2	4	6
" " 8 " " 10	10		1	1	6	8
" " 10 " " 12	12				1	1
" " 16 " " 16	16				1	1
1 1/2 " " 5 " " 3 1/3	3 1/3	1	1	1	1	4
" " 7 " " 4 2/3	4 2/3		1	1		2
" " 12 " " 8	8				1	1
2 " " 1 " " tygod.	2	1				1
" " 7 " " 3 1/2	3 1/2		1			1
" " 10 " " 5	5	1	2			3
" " 12 " " 6	6		1	1		2
3 " " tyg. po 1/2 rs. godz.	12			1		1
" " 1 " " 24	24				1	1
4 " " za 5 " " 7 1/2	7 1/2		2			2
" " 8 " " 12	12				1	1

„Po wyłączeniu wypadków wynagrodzenia „wnaturze“, płace korepetytorów dały się ująć w po-

wilu na „Grojseszyk“ — dobrze po północy powróciłem dopiero do mieszkania Filipa... nie! do mojego mieszkania. Na biurku leżał telegram, zostawiony przez mego przyjaciela, podpisany przez Pokropińskiego.

„Dziś wieczorem ciocia pana umarła.“

— Jakto dziś wieczorem? — szepnąłem. Telegram dzisiaj o godzinie dziesiątej rano wysłany. Pokropiński pomylić się musiał — oczywiście!...

Bądź co bądź, wypadek ten był dla mnie wcale na rękę. Uczułem się znowu panem na własnych śmieciach, kanapę, na którą patrzeć spokojnie nie mogłem, wyprawiłem na strych, fajkę darowałem stróżowi i dziękowałem Bogu, że nareszcie sukcesją obdarzył Filipka. Gdyby ciocia Teresa całą mu Kalifornię zapisała, za zdrośćby nie powstała w mojej duszy, tak mi było dobrze samemu, tak wygodnie w mojem, od trzech miesięcy nie używanem, łóżku. Odetchnąłem szeroko, jak Farys, marząc o dniach niepokalanej ciszy.

Na dzień trzeci po wyjeździe Filipa ktoś zadzwonił do drzwi mojego mieszkania.

Otwieram — wchodzi Filip.

Drgnąłem.

— Cóż, cioteczka twoja? umarła? — zapytałem, czując niepokój w sercu.

— Umarła, straszną śmiercią! — grobowym odpowiedział głosem.

— Kiedy?

— Wieczorem dnia tego, w którym od Pokropińskiego telegram przyszedł.

— Jakto się to stało — wytłumacz!

— Wytłumacz!... bardzo łatwo. — Przyjeżdżam wieczorem do Płocka i nie zachodząc nigdzie, idę prosto odwiedzić ciało nieboszczki. Podchodzę do kamienicy, którą w myśli swojej już oszacowałem; widzę światło i niespokojny ruch osób, odbijający się w szybach okien. Mimowolnie westchnąłem. W myśli mojej stanęła trumna, katafalk, całuny, świece, kamienica cała z ogrodem, jako niezaprzeczone już własność moja. Przejęty żalem wchodzę na schody i zbliżam się do drzwi pierwszego pokoju, które mi wygalowany szwajcar otwiera.

— Gdzie pani leży? — pytam.

„Szwajcar jakoś bokiem na mnie spojrział i wskazał drzwi na lewo.“

„Otwarłem takowe i już w progu samym stanąłem, jak załapany.“

„Tak! ciocia moja leżała... ale w objęciach Pokropińskiego.“

— Co? umarła w jego ramionach? — zawołałem dziwnym wypadkiem przerażony.

— Dyabła tam! — zakrzyczał Filipiek, tylko co od ślubu wrócili — rozumiesz?

— Niestety! — zawiodłem.

— Szelma Pokropiński — ot, jak się zemścił? ale i ciocia moja, żeby z czeluści piekielnych nigdy nie wylazła, odsadziła go od Adolfiny — dla siebie... ha?

wyższą tablicę, w której liczbami oznaczono, w ilu wypadkach dana forma się spotyka.

Z powyższej tablicy wyprowadza p. Kr. następujące wnioski: „miesięczna płaca za 1 godzinę codziennej pracy ucznia:

Klasy	VI	waha się	między	2 — 5 rs.	i wynosi	3,88 rs.
				3 1/2 — 10 "		5,36 "
				3 — 12 "		6,16 "
				3 1/2 — 24 "		8,81 "

Wogóle zaś, miesięczna płaca za 1 godz. codziennej pracy ucznia jednej z wyższych klas waha się między 2 — 24 rs.; a przeciętnie równa się rs. 6,45.

Najwięcej zaś korzystnym jest wynagrodzenie „w naturze”, t. j. udzielanie lekcji za mieszkanie i stół, jednakże wypadków takich jest bardzo niewiele i korepetytorzy domowi stanowią zaledwie 12% ogólnej ich liczby.

W tem miejscu pozwolą mi moi czytelnicy, że wyjdę z roli obiektywnego sprawozdawcy, a zajmę się krytyką wniosków p. Kr.

Przeciętna, otrzymana przezeń, jest mianowicie stanowczo zbyt wygórowaną.

Rozpatrując dokładnie tabliczkę, zauważymy łatwo, że np. przeciętna miesięczna płaca za 1 godz. dziennie ucznia kl. VIII jest w samej rzeczy niższą, niż otrzymane przez autora artykułu rs. 8,81. Cyfrę zaś tę otrzymał on dlatego tylko, że brał w rachubę dla wyprowadzenia przeciętnej i sumę rs. 24 miesięcznie, płaconą tylko w jednym wypadku, jako wynagrodzenie za umowę od godziny, wiemy zaś, że umowy takie do bardzo nielicznych wyjątków należą. Przyjęcie tej cyfry w rachubę podwyższyło przeciętną o 81 kop.

To samo znajdujemy i w kl. VII, gdzie odrzucając rs. 12, jako wynagrodzenie za umowę od godziny, otrzymany przeciętną tylko rs. 5,8.

Oprócz tego zauważymy, że przeciętna płaca ucznia kl. V jest tu wyprowadzoną tylko na mocy 16 danych, gdy tymczasem korepetytorów w tej klasie było 28. Otóż, posiadając dane zupełne, znaleźlibyśmy napewno więcej uczni zarabiających po 2 rs. i 3 rs. miesięcznie za godzinę codziennej pracy, co znacznie wpłynęłoby na obniżenie ogólnej przeciętnej. Jednakże, nie przyjmując nawet tego w rachubę, i ograniczając się naszymi uwagami co do klasy VIII i VII, dojdziemy do wniosku, że miesięczne wynagrodzenie za 1 godz. codziennej pracy ucznia jednej z 4-ch klas wyższych wynosi nie rs. 6,45, a rs. 5,71, czyli przyjmując 24 dni roboczych miesięcznie, wynosi ona 24 kop. za godzinę pracy dziennej.

Wyzysk takiej zapłaty zrozumiemy jeszcze lepiej, jeżeli zauważymy, że uczeń, by zarobić konieczne mu do utrzymania się w gimnazjum rs. 300 rocznie, musiałby w kl. V pracować przeciętnie 7 1/2 godz. dziennie, w VIII zaś 4 godziny. Naturalnie, jest to niemożliwym, przynajmniej do kl. VIII. „To też”, jak słusznie zaznacza autor, „jeżeli dawniej zdarzały się jednostki z ludu, które prawie bez pomocy rodziców kończyły gimnazjum, obecnie jest to niemożliwym; i rzeczywiście: nietylko pomiędzy znanymi nam 56, ale i w całym gimnazjum niema ucznia, coby się z korepetycją, wynagradzanych pieniędzmi, utrzymywał.”

P. Kr. na zakończenie zwraca uwagę czytelników na parę ciekawych umów. Oto one: umowa miesięczna roczna o 25 rs., gdzie płaca redukuje się do 3 rs. miesięcznie za godzinę i umowa tygodniowa, gdzie spada ona do rs. 2. Obydwa miały miejsce w kl. V. Potwierdza to nasze przypuszczenie, zaznaczone cokolwiek wyżej, że szczegółowe dane statystyczne wykazałyby więcej takich nierozsądnych umów w tej klasie.

Zresztą, udzielaniem korepetycji trudnią się często uczniowie klas niższych. Autor przytacza tu parę wypadków dawania korepetycji przez ucznia kl. IV za rs. 4 mies., przyczem często zajęcia trwało daleko dłużej, niż godzinę. P. Kr. wie nawet o umowie ucznia kl. III, który udzielał lekcji uczniowi kl. II za rs. 3 mies. Zdarzają się jednak wypadki jeszcze mniejszego wynagrodzenia, tak że płaca spada do rs. 2, a nawet rs. 1 1/2 miesięcznie.

Co się tyczy zapłaty, to bywa ona przeważnie wypłacaną regularnie. W jednym tylko wypadku korepetytorowi niewypłacono należności za korepetycję przez cały rok szkolny (po rs. 5 mies.), w drugim zaś zatrzymano zapłatę za ostatni miesiąc. W obydwóch wypadkach korepetytorami byli uczniowie kl. VII. Oto dane, zawarte w artykule pana Kazimierza Krauza.

Streściliśmy je bardzo szczegółowo, by zaznaczyć ogół z pierwszą pracą na tem polu, i zarazem, by dać pojęcie, jak dane takie klasyfikować należy. i jak wyprowadzać z nich wnioski. Na jedną jeszcze okoliczność zwrócę uwagę czytelników. Przy wyprowadzaniu przeciętnej płacy za godzinę miesięcznie, otrzymamy tę przeciętną daleko ściślej i daleko bliższą rzeczywistej cyfry, gdy, dla jej znalezienia, wyliczymy liczbę godzin korepetycji wszystkich korepetytorów w przeciągu miesiąca (u nas liczba ich wynosi 2190) i podzielimy przez nią wynagrodzenie, otrzymane przez wszystkich korepetytorów za miesiąc (u nas rs. 531 kop. 50). Robota to trochę zmusna, lecz wynagrodzi ją so-

wicie znaczna ścisłość przeciętnej. Zastosowawszy więc sposób ten do naszych danych, otrzymamy przeciętną płacę miesięczną rs. 6,25. — a dzienną za 1 godz. płacy 24 kop. Różnica więc, w porównaniu z cyframi, wyprowadzonymi przez p. Kr., wynosi w płacy miesięcznej kop. 20, a w płacy dziennej kop. 3.

Mamy nadzieję, że pierwsza praca na tem polu — artykuł p. Krauza — nie będzie zarazem ostatnią, i że podniesienie tej kwestyi nie pozostanie bez wpływu na badania statystyczne w dziedzinie korepetycji studenckich i uczniowskich. Zbieranie takich danych i ogłaszanie ich corocznie drukiem w miejscowych organach, zaznaczanie ich wyników w „Głosie” lub „Przeglądzie pedagogicznym”, z jednej strony podniesie świadomość korepetytorów i spowoduje tym sposobem zwiększenie wynagrodzenia za lekcje, — z drugiej strony wprowadzi do badań statystycznych naszego życia społecznego nową rubrykę: wynagrodzenia pracy korepetytorskiej.

Wiktor Kazimierz Sławomski.

Z wystawy berlińskiej¹⁾.

II.

Jeżeli, krążąc po rynkach sztuki nowoczesnej, zmęczysz się i znudzisz taniocścią tego realizmu, który rozkochany w pedantycznej wierności zewnętrznej zapomina o głębokiej, wewnętrznej prawdzie, to widok portretów Kazimierza Pochwałskiego będzie dla ciebie źródłem ożywczem. Na całej wystawie nie spotkałem — oprócz jedynego obrazu Herkommera — portretów o tej zdumiewającej psychologicznej prawdzie, którą w arcydzieła swoje przelał artysta polski, a prawda ta jest tak potężną, że ani na chwilę wątpić nie wypada, iż Pochwałski długo wczytywał się w duszę odtworzonych postaci, zanim za pędzel uchwycił i na płótno je rzucił. Każda z kreacji mistrza jest typem, każda na licach nosi własną duszę, a siła artysty jego przemawia najpotężniej wtedy, jeżeli przeciwstawimy ją portretem modnego, ale płytkiego Richmonda. Richmond to artysta w rodzaju Emila Zoli, uwzględniający wyłącznie niemal cieleśną stronę człowieka i odtwarzający ludzi w ich

¹⁾ List ten z powodów nieprzewidzianych uległ opóźnieniu, podajemy go jednak, ponieważ zawiera ogólne uwagi o sztuce niemieckiej. Red.

— No — ale.. zapisała może coś tobie?... — bąknąłem.

— Wszystko Pokropińskiemu! Całą kamienicę, z ogrodem, z sobą, z zakamarkami i komórkami wszystkimi!

Chwyć się za włosy i wzdłuż i wszerz mojego mieszkania przechadzać się zaczął. Milczałem, nie mogąc znaleźć słów na pocieszenie mojego przyjaciela.

— Fajki! — huknął niespodzianie.

Przysiadłem.

— Słyszysz? — powtórzył.

— Zaraz... zaraz, kochanku! — kazałem ją przeczyścić, wyjąkałem. Pobiegłem do stróża i wykupiłem za kilka złotych.

Minęły błogie dni Aranjuezu — powróciły czasy Filipa. Kanapa musiała znowu ze strychu się zsunąć, a sakiewka przejść do rąk przyjaciela.

Po paru tygodniach, ciężkich jak koło młyńskie, bo Filipek stał się dziwnie opryskliwy, ja zaś musiałem boleść jego szanować — siedzieliśmy w milczeniu, obaj zgnębieni i smutni. Ja ogryzałem paznogie, Filip dym fajczany w nos mi puszczał.

Po chwili odezwał się:

— Ludwik!

— Co, kochanku?

— Czasby się tobie już ożenić.

— Ba! ale z kim?

— Jakto z kim? Wyswatam ci pannę Adolfinę.

— No a ty?...

— Dla ciebie zrobię to poświęcenie... Zresztą, ja nie stworzony do pożycia małżeńskiego... Jestem szorstki, zmienny — ty co innego! Lubisz ciszę, a ja bym się przy żonie własnej znudził, Panna Adolfina młoda jeszcze, ma kamienicę na Krzywem-Kole, długu żadnego — będziesz miał spokój, niezależność.

Westchnąłem.

— Jutro pójdziemy — rozumiesz?

— A dobrze, jeżeli chcesz tego.

— Teraz dobranoc, niedorajdo! — A rozgryź dobrze, com ci powiedział... Nie-za-leż-ność — to wielkie słowo!

Położył się na łóżku, ja wpakowałem się do swojej kanapy i rozmyślać zacząłem.

Filip miał rację! Pannę Adolfinę widziałem kiedyś — niczego kobieta! a na Krzywem-Kole kamienica zawsze coś znaczy. Tak! ożenić się trzeba, bo inaczej Filipa się nie pozbędę, a tak zdobędę to, do czego wdycham: — niezależność!

Na drugi dzień poszedłem z wizytą do panny. Podobała mi się — Filip patronował w mojej sprawie i tak jakoś, około jedenastego Listopada, ożenił mnie.

Uczta ślubna odbyła się w domu stryja panny młodej, bo rodziców nie miała; nazajutrz prze-

nieśliśmy się do własnego domu na Krzywe-Koło.

Urządzenie naszego mieszkanka miłe na mnie wrażenie zrobiło. Rozkład pokoi był doskonały. Sien, przedpokój, na lewo mój gabinet, na prawo buduar Adolfinki i sypialnia, prosto salon, zanim przechodni pokoik do jadalni, tuż kredens, kuchnia oddzielona kurytarzem; woda-ciąg, zlew, dwie komórki i trzecia jakaś. Od jadalni zaś był jeszcze jeden pokoik, bardzo ładnie umeblowany, z szezlongiem, biurkiem i łóżkiem pod baldachinem.

— Czyż-że to taki rozkoszny apartament? — spytałem mojej żony.

— Filipa.

— Filipa?

— On ciebie tak kocha, że rozstać się z tobą byłoby dla niego największym ciosem.

— Pocziwy Filipek! — szepnąłem, czując lży rozrzewnienia w oczach.

Zamieszkaliśmy więc we troje, dzieląc wspólnie wszystkie troski i przyjemności życia. Pocziwy Filipek we wszystkim mi pomagał. Pracowaliśmy razem: ja chodziłem na targ, Adolfina wydzielała pieniądze, Filip po dawnemu rachunki ze mnie zbierał...

Kazimierz Gliński.

stosunku do świata zewnętrznego, u Pochwalskiego natomiast duchowa i czuciowa strona natury ludzkiej pierwszorzędną odgrywa rolę — on ludzi odtworza w stosunku do siebie samych i więcej do Bourgeta niż Zoli się zbliża.

Nie dziw więc, że artysta tej miary pokusił się o rzucenie na płótno rysów autora „Bez dogmatu“, ale zdumienie pewne ogarnia nas, gdy ktoś niedyskretny szepnie nam do ucha, że ten, który portret swej Anielki pędzłowi Angelego powierza, ten wirtuoz niezrównany, który przez trzy tomy zachwycił nas wrażliwością swoją na wszystkie najsubtelniejsze odcienia piękna, nie uznał mistrzostwa Pochwalskiego i szepnął tylko: „Tak! to przynajmniej kawał porządnej roboty“. A przecież w rysach Sienkiewicza złożył artysta krakowski cały rozkładowy materyjał Płoszowszczyzny a tak potężnie u-zewnętrznił ceną zawartość psychiczną i ciche tragedye geniuszów, że obcy ludzie przy pomocy katalogu odgadywali istotę odtworzonej postaci. C'est un homme de lettres, n'est ce pas? spytał mnie francuz jeden, a pewien malarz niemiecki dorzucił: Ou un petit maniaque... Może to do drobny przyczynek do teoryi Lombrosa.

Niemcy w dziale portretów nie nadzwyczajnego świata nie pokazali, w dziale obrazów rodzajowych mało tylko mistrzowskich płócien stworzyli. Sztuka niemiecka która stosunkowo dość późno na widowię wystąpiła, w początkach swoich wielkie rokowała nadzieje, ale po Dürerze i Holbeinie nie nastąpiło godne ojców potomstwo, a historia wspomnieć może o chwilach tylko względnego rozkwitu. Po pryncypacie Kolonii, Augsburga i Norymburgii ojezyczna sztuka germańskiej stały się Monachium i Düsseldorf. Berlińczycy nieśmiało do dają: i Berlin; z trzech tych dzielnic jednakże druga już niemal tylko tradycją żyje, ostatnia w powijkach jeszcze nóżkami przebiera, a pierwsza jedynie tryska pełnią młodości i życia. Już w samym kolorycie zauważyć można pewną zasadniczą różnicę tych trzech ognisk artystycznych, a mianowicie Düsseldorf odznacza się barwami zgniełmi, bez siły i energii, Berlin pewnem scholastycznym zimnem, Monachium natomiast ciepłą, dziewiczą świeżością. Rzecz oczywista, że taka charakterystyka tylko w najogólniejszych zarysach za prawdziwą uważaną być może, bo wszędzie znajdują się poszczególne kreacje albo części kreacji, do których owych szerokich, wyżej zaznaczonych pojęć zastosować nie wolno. Za najlepszy obraz szkoły Düsseldorfskiej uważać trzeba F. Brütta „Verurteilt“. Owiany on jest przedziwnem technieniem niezasażonego męczeństwa i przebaczenia, a na przedstawicielach ludzkiej sprawiedliwości wypisany jest cichy protest przeciw literze prawa i jakieś rzewne: „Tout comprendre c'est tout pardonner“. Ciało skazanej drży, wstyd i bolesne smutną piosnkę na sercowych wygrywają strunach, a wynętrznie nie tych uczuć świadczy o wielkiej poprawności techniki i wrażliwości artystycznego temperamentu. Całość obrazu na jeden ton nastrojona uderza przedziwną łagodnością swych odcieni i dodatnio odbija od innego, historycznego obrazu tej samej „Einsegnung der Freiwilligen 1813“, gdzie barwy kłócą się ze sobą, rażą bezpośrednią sprzecznością wzajemną.

Najlepszym płótnem monachijskiem jest bezwarunkowo Pigheima „Blind“. Artysta stworzył tutaj ślepa dziewczynę na tle bujnych maków czerwonych, którymi szerokie pole się stroi. W powietrzu drgają fioletowe tony, a luna zachodzącego słońca zdaje się być odbiciem płomiennych blasków makowego łanu. Przeciwstawienie tego niezrównanego piękna przyrody i nieczulej na otaczające ją czary kobiety ślepej w pomysłę swoim i wykonaniu zdradza talent niepospolity. Postać dziewczyny jest znakomicie modelowaną, a gra kolorów na jej szyi, twarzy i sukni jest dowodem subtelności zmysłu spozstrzegawczego. Pewien z krytyków niemieckich obraz ten nazwał „pięknym frazesem sztuki“, ale w orzeczeniu tem jest więcej mimowolnej samokrytyki recenzenta, niż trafego sądu. Artysty niemieccy, prawdopodobnie pod wpływem prądów naturalistycznych, tak odwykli od oryginalnych pomysłów, że każdą myśl niezwykłą gotowi poczytać za spekulację na efekt, a jednak zarzutu tego żadną miarą Pigheimowi zrobić nie można. Mydlana bańka frazesu chwilę tylko durzy swym blaskiem tęczowym i ginie, a obraz ślepej dziewczyny dla której nie egzystują ani błękitów jasność, ani kwiecieści ziemi dywany, jeno ciemność wieczna zostawia coś w duszy, co to za lada wiatru podmuchem nie może rozprysnąć się w nicość. Lecz jest inne płótno w mo-

nachijskim oddziale, do którego zastosować można bon mot krytyka niemieckiego, płótno, które na razie zastanowi i do miejsca przykuje, ale po chwili niesmak budzić zaczyna i niesmak ten potęguje, im dłużej w nie się wpatrujesz — mówię tu o „Lucyprze“ Franciszka Stucka. Stuck, utalentowany fantastyk, uczeń niezrównanego Bocklina, stworzył nam coś, co przypomina sowę, siedzącą na drzewie w noc ciemną. Na razie nie widzisz tylko błyszczących ócz dwoje, a dopiero po chwili odróżniasz jakieś kontury i spozstrzegasz wyłaniające się niebiesko-zielone ciało Lucypera. Dziwactwo Stucka, znane nam zresztą już z specjalnej wystawy dzieł jego w Berlinie, tym razem przekroczyło granice i stworzyło arcydzieło niesmaku, a żalować tylko wypada, że artysta tej miary, odznaczający się poprawnością rysunku i subtelnością poczuciem barwy, nie utworem sztuki ale sztuczką nas obdarował. Za to mistrz jego Bocklin nie zawiodł oczekiwani naszych. Jest coś muzycznego i dziwnie namiętnego w Bocklinowskich barwach, na razie trudno to wszystko zrozumieć i odczuć, lecz z wolna występuje potęga samej, płomiennej pieśni jego, bo barwy Bocklina — to pieśń.

Postacie genialnego malarza nie stąpają po ziemi lecz płyną, a na ogół zawsze prawie te ciemne drzewa, ta przejrzysta woda i w sen zakłętę przestrzeń. Jakaś atmosfera legendowa otacza wszystkie kreacje wielkiego szwajcara, coś niby cień Szecherezady unosi się w górze i drżąca melodyja leśnych rusalek płynie po liściach i rosie. Ludzi i przyrodę łączy tu nie mistyczna, pierwsi nie są niczem odrębnym od drugiej lecz jej ostatnim, najwyższym wyrazem. I w tym panteizmie utworów Bocklina jest jakieś pragnienie nieskończoności, jakiś dźwięk, który dąży dalej i dalej granic nie zna, znać nie chce i znać ich nie może. Myśląc o Bocklinie, mamy wrażenie sennego widziadła, którego treść już dawno uszła nam z pamięci, ale po którym zostało jakieś ogólne uczucie słodyczy i rozkoszy. Jego obraz najnowszy „Droga do świątyni Bachusa“ jest szczytem krajobrazowego malarstwa. Ta dal mroczna, te potężne drzewa o barwach pełnych i żywych, ta ciemna a lśniąca woda, jakże to wszystko zachwycające, rozmarzone a zmysłowe. Albo ta „kobieta ryba“ z czerwonymi włosami; zimna jest i wilgotna aż do szpiku kości. Jest to niby człowiek, a jednak w każdej części jego znać rybę, i ta rybiłość syreny jest najchlubniejszem świadectwem dla Bocklinowskiego artyzmu. Pierwszy raz udało nam się też spotkać na wystawie berlińskiej obraz humorystyczny Bocklina, chociaż malarz szwajcarski już kilkakrotnie sił swoich w tym rodzaju malarstwa próbował. Jest to realistyczna, może zbyt soczysta parodia „Zuzanny w kąpielu“, a chociaż odznacza się ona wszystkimi właściwościami karykatury, to mimo to podziwiać nam trzeba zdumiewające mistrzostwo techniki. Obraz ten wywołał mnóstwo zaczepek i deklaracji na temat sprostytuowania sztuki, spotwarzania piękna i t. d., dla tych jednakże, którzy dość odpowiednią karykaturą przykładają miarę i „cynizm“ jego, jako konsekwencyję humorystycznych intencji artysty pojmują, oburzenie to będzie tylko nowym dowodem pruderyi naszych „najezystszych“.

Szkoła berlińska malarzy złożyła na wystawie dowody wielkiej rutyny — nie więcej. Nosi ona na sobie cechy właściwe wszystkim szkolarzom, pełno tam prawidłowości, pełno sumiennie zastosowanych reguł i przepisów, jednym słowem cała gramatyka malarstwa. Różnica między Berlinem a Monachium jest mniej więcej taka, jak między szóstoklasistą a romansopisarzem, ćwiczeniem a powieścią. Kilka obrazków z dziedziny nature morte oraz kilka drobnych rodzajowych rzeczy wnoszą się wprawdzie ponad przeciętny poziom miernoty, ale i tu znać pewną nieśmiałość obok pedanteryi, tudzież brak wybitnego indywidualizmu. Zaznaczyc tu chyba można płótno A. Heringa, w którym jakaś tragiczna podzwania nuta, więcej wszelako z pomysłu, jak z wykonania wyływająca. W anatomicznej sali znajduje matka trupa córki swojej, która dla młodych medyków stała się przedmiotem interesujących doświadczeń. Główną zaletą obrazu jest oświetlenie zimne, szerokie, spokojne, oświetlenie przenikające do wszystkich kąćków tego przybytku wiedzy, który nie zna nic, krom eksperymentu i doświadczenia. Sztynno tu i chłodno, a ściany dziwić się zdają, że ktoś płakać umie. Mógłbym jeszcze zaznaczyć dwa obrazki Liebermanna, z których jeden mianowicie t. j. „Flachs-schener in Holland“ należy do pereł naturalistycznego malarstwa i obok Uhdego arcydzieł śmiało

postawiony być może. Jest to jednakże już rzecz starsza, znana szerokim kołom publiczności z berlińskiej galerii narodowej i dla tego przechodzę nad nią do porządku dziennego.

Inne miasta niemieckie, które także roszeją sobie artystyczne pretensyje, może mniej jeszcze jak stolica przyczyniły się do uświetnienia berlińskiej wystawy. Weimar, Kassel, Drezno i Stuttgart zajmują wprawdzie liczebnie dość wybitne miejsce, ale ich waluta artystyczna bardzo niską nam się być zdaje. Podnieść mi tu chyba wypada obraz Maksymiliana Thedy, który o ile sobie przypominam nosi tytuł „Holländisches Intérieur“ i przedstawia kobietę w białym czepeczku, zajęta szorowaniem kotła. Gra światła i różne efekty z niej wypływające chlubnie świadczą o talencie młodego artysty, szkoda tylko, że strona kolorystyczna odznacza się przesadną miękkością. Ta sama większość jest kardynalną wadą sztuki drezdeńskiej, która robi wrażenie omdlewającej, bez siły i niezdrównej czułościowości, a nawet malarz tak zdolny, jak Paweł Baum, nie jest wolnym od błędów tego. Wskutek braku energii i niedostatecznej obserwacji natury utwory drezdeńskie noszą na sobie piętno chorobliwego zmęczenia, a piętna tego nie jest w stanie zniweczyć uderzająca gźdzeniegdzie i nieuzasadniona jaskrawość kolorów. To nie siła, to tylko wysiłek niezdrówy.

W. R.

„PASSIONNEL”

(Zbiór opowiadań)

Kazimierza Hulewicza, Paryż 1891 roku.

Polskie nazwisko autora tego zbioru opowiadań zwróciło naszą uwagę na ten pierwszy jego występ we francuzkiej belletrystyce; — o którym zresztą, w bieżącym piśmiennictwie naszym tu i ówdzie już nadmieniano. Literatura francuska niemało liczy polskich imion, które, nie bez pewnego pożytku i dla nas, uprawiają jej niwy. Tak naprzykład młody jeszcze autor Stanisław Rzewuski z niejakim powodzeniem, pracuje dla sceny francuzkiej. Pani Poradowska, lepiej niż wszelkie Sacher Mazoch'y i Franzos'y, zaznajamia francuzów z życiem naszym, bądź pisząc oryginalnie, bądź tłómacząc lepsze utwory naszych autorów. Co się tyczy książki p. Hulewicza; to autor jej, pisząc nie po polsku, nie uboży wcale naszego piśmiennictwa i że ztąd żadna dla nas strata nie wynika. Nie przynosi on także swoim autorstwem zaszczytu literaturze francuzkiej, bo nie mówiąc już o innej wartości jego utworów — język, którego używa, mszcząc się na nim niejako, robi takie wrażenie, jakby się czytało rzecz, starannie z polskiego na francuzki język przełożoną. Ale mniejsza o to! W belletrystyce francuzkiej utonie p. Hulewicz wśród powodzi drugo i trzeciorzędnych autorów i chyba tylko katalogi księgarni paryżkich ślad jego pojawienia się i przewłascia zaznaczą. W książce o powyższym nagłóiku znajdujemy trzy opowiadania, a mianowicie: „Passionnel“ (zkał tytuł samej książki), „L'Héritage“ i „Haragé“; są to prace samego p. Hulewicza; czwarte bowiem, zatytułowane „Al-gues éparées“, umieszcza autor, jako uporządkowaną spuściznę niby-literacką po zmarłym przyjacielu swoim niejakiem Chrzaszczu (to nie dla francuzów). Spuścizna ta składa się z kilku chaotycznych i beztreściowych szkiców z życia młodego marynarza, nad nią więc dłużej zatrzymywać się nie będziemy. Do jakiego rodzaju utworów beletrystycznych zaliczyć mamy te, które nam p. H. od siebie daje, doprawdy, sami dobrze niewiemy. Lecz co nas w nich odrazu uderza, to, że się tak wyrazimy, ich niewspółczesność w formie i treści. Robią one na nas wrażenie ni to bajek, ni to opowieści, osnutych na zdarzeniach prawdziwych, zaprawionych fantazyją, ni to studyjów psychologicznych, robionych na charakterach osób pojedynczych, z zamiarem uwydatnienia jakiegoś dominującego stanu duszy, — tego co H. Taine nazywa „tendance fondamentale“; — słowem, ani tego, ani owego, ale wszystkiego potroszę, tylko, niestety, ujętego niezręcznie w wymęczone formy.

W literaturze francuzkiej niemało jest utworów tego rodzaju, lecz one inaczej, co prawda, wyglą-dają. Znane są nam na wpół fantastyczne, na wpół prawdziwe majaczenia, takich, jak Villiers de l'île Adam, albo jak Edgar Poë, — ale o ich pod-

bieństwie do utworów p. Hulewicza mowy być nie może.

„Passionnel“ np. zaczyna się zupełnie jakby jaka srodze miłosna opowieść z czasów „Pawła i Virginii“ Bernardin de St. Pierre'a, — od tych, mniej więcej słów: „Najgorętsza wyobraźnia najbardziej pomysłowego malarza nie potrafiłaby stworzyć harmonijnej czystości linii czarownego ciała Gabryjeli. Usta jej były świeże, oczy posiadały tajemniczość głębokiego morza, a twarz promieniała jakąś rozkoszną słodyczą.“ Wiele rzeczywiście dowiedzieć się można z tego opisu jak wyglądała owa nieuchwytna istota. Dalej dowiadujemy się, że „ich było dwóch: Cyryl i Andrzej,“ którzy jednakowo uwielbiali tę niezmierną Gabryjele. Jeden z nich, Andrzej mianowicie, pozyskał naresze jej wzajemność, ożenił się i... tu już przenosimy się z okolic podniebnych w sfery tak zwanego wielkiego świata — wyruszył z ukochaną w podróż poślubną i to parostatkami. Statek utonął, a nieszczęśliwa młoda para znalazła razem śmierć na dnie oceanu. Cóż tedy robi strapiiony Cyryl — bo on to jest tym człowiekiem namiętnościowym, „Passionnel“ — gdy do niego wieść o tem doszła. Oto zapalał on gwałtowną chęcią ujrzenia, jeszcze raz rysów ubóstwianej osoby. Udaje się tedy na miejsce katastrofy i otrzymuje pozwolenie spuszczenia się w ubranii nurka na dno morskie. Po przebyciu wielu przeszkód, dostał się do zatopionego statku i tam w głębi jednej jego kabiny ujrzał bladą postać Gabryjeli, a obok niej swego niegdyś szczęśliwego rywala, jej męża, którego oczy wyrażały także samą gorącą miłość, jak niegdyś, za życia na ziemi. Pan Hulewicz powiada nam, że obraz tej trupiej miłości, ten „flirt“ ponury (jak to zaraz znać człowieka wykwiłtych salonów) wypiekał Cyrylowi oczy. Dawniejsza zazdrość odezwała się w nim znowu, a chęć posiadania Gabryjeli gwałtownie go opanowała; przyciągnął ją więc do ust swych i wykrzyknął: „Kocham cię, czy słyszysz? — kocham cię.“ Poczem zaczął rozmyślać nad marnościami tego świata, od którego oddzielała go wód głębia, przekonał się po krótkiej rozprawce, że trudno mu będzie żyć tam, w górze, bez niej, — myśli więc o śmierci wnet mu zaświtała. Mógł tedy, jeżeli mu o to tak bardzo chodziło, przeciąć sznurek ratunkowy, łączący go ze światem, i pozostać na wieki obok tej, którą tak namiętnie ukochał. Gdyby jednak tak prosto sprawę tę załatwił, nie byłby „passionnel“ w rozumieniu p. H. Przyszło mu więc, prócz tego, co innego jeszcze do głowy: oderwać małżonka od żony, przywiązać go do sznura, żeby go później na dany sygnał zamiast niego wyciągnięto na powierzchnię. W mgnieniu oka uskutečnił ten zamiar, po czem miał jeszcze kilka chwil czasu na „flirt“ sam na sam z ukochaną, bez rywala. Akt ten uważał jako wymierzenie sobie samemu odmówionej mu niegdyś sprawiedliwości. Co za wyrafinowanie — i jak to pięknie świadczy o polocie wyobraźni p. H. Największa z całego zbioru nowella p. t. „Enragé“ zakrawa na głębsze studjum psychologiczne, mające za przedmiot jednostkę skłoną do tego, co psychologowie francuscy nazywają „obsession del'esprit“, t. j. do przejmowania się jakimś jednym silnym wrażeniem, jednym stałym stanem duszy, wyłączającym wszelkie inne (po prostu „idée fixe“), i to najczęściej wywoływany jaknajbardziej przyczyną. Osobą taką jest książę Paweł Orski, młodzieniec ze znaczną fortuną, wraz z którą odziedziczył po swoich przodkach zwyrodnioną organizację nerwową i usposobienie do halucynacji, t. j. do widzenia tego, co nie jest, co mu się przedstawia jako rzeczywistość. Młody panicz — comme de raison — z początku zaczął używać żywota, co go stargało ostatecznie i wtrąciło w odrętwienie moralne. Potem przerzucił się w inną ostateczność i od prze-subtelizowanej zmysłowości przeszedł do „spirytualistycznego“ pojmowania życia i zadań człowieka. Zaczął tedy młody książę marzyć o kobiecie idealnej, o tym absolutnie piękności, którego wzór — powiada p. Hulewicz — nosi człowiek od dzieciństwa w swej duszy, a którego nawet rozpusta (hml) nie jest w stanie zatrzeć. Po krótkich poszukiwaniach istota tego rodzaju ucieleśniła się mu w osobie niejakiej p. Joanny, której natychmiast wyszeptał słodkim głosem „je vous aime“ — w co absolutnie uwierzył od razu. W tym to czasie spotkał książę Paweł gdzieś w drodze, w wagonie człowieka, ukąszonego przez psa wściekłego, który wracał od Pasteur'a. Z tą myślą zasnął i we śnie wydało się mu, że ten człowiek rzucił się na niego i pokąsał go. Po przebudzeniu umysł jego nie mógł odróżnić snu od jawy i odtąd myśli, że nosi

w sobie jad wściekliczny. zaczyna go prześladować nieubłagane. Przestał widywać Joannę, stracił dla niej uczucie, — rozkochał się natomiast w innej, Luizie P., przed którą w chwilach zapału wypowiedział swe pesymistyczne poglądy na życie, czego nowy „absolut“ nie rozumiał wcale, a wdychał natomiast do pełnego czarów życia pałaców.

Rozbudzone na nowo uczucie nie jest już jednak w stanie oderwać umysłu księcia Pawła od przedmiotu jego chorobliwych przywidzeń. Myśl o wścieklicznie staje się naczelną, usuwa wszelkie inne i tamuje inną działalność ducha.

Tymczasem opuszczona Joanna, dowiedziawszy się o zdradzie i o nowym afekcie ks. Pawła, udaje się do p. Luizy, opowiada jej wszystko, a ta, uniesiona szlachetnością, pisze do nieszczęśliwego hydrofoba, że widzi się zmuszoną zerwać z nim stosunki.

Postępek p. Luizy dotknął go do żywego: stłumił w nim doszczętnie i bez tego słabe już przebłyski rozumu, czego objawem — utrzymuje p. H. — „był silny szum w uszach i spazmatyczny ruch szcęk“ (dobrze!). W dodatku wpadł na podejrzenie, że musiano się dowiedzieć o tem, co go tak nęka i że dla tego został odepchniętym. Podczas jego rozmyślań nad tem zjawia się w pokoju, w którym się znajdował, wylękała Joanna; gdy ją spostrzegł, zbliżył się do niej gwałtownym ruchem; będąc przekonany, że widzi Luizę (halucynacja), rzucił się na nią, a ściskając namiętnie zatrzęsł się w ostatniej konwulsji i... żyć przestał.

„A Joanna? zapyta może czytelnik“ — kończ czule p. H. na sposób staroświecki zużytym efektem, przenoszącym nas w czasy, kiedy Kraszewski pisał swoje „Cztery wesela“ — „odpowiem więc mu na to wierszami V. Hugo: „Rêver, puis s'en aller, c'est le sort de la femme“.

Nie, nie zapyta się czytelnik (nawet czytelniczka): co się stało z Joanną? bo pytamy zwykle o los tych, z którymi, w trakcie opowiadania na tyle nas autor potrafił zapoznać, na tyle kazał nam sympatyzować lub wogóle zainteresować się, że pytanie to każdemu z czytających mimowoli pod koniec się nasuwa. A tu o postaci, stworzonych przez p. H., taki można mieć pojęcie i troskę o ich losy, jaką się wynosi po oglądaniu figur woskowych, widzianych w jakiej jarmarcznej budzie. Przemykają się one przed nami tak sumarycznie i niezadarnie szkicowane, że zapytać się raczej należy, po co je autor powoływał do tego, choćby fikcyjnego, życia?

O trzecim obrazku „l'Héritage“ już nam, po dwóch tu przedstawionych, nawet mówić się nie chce, a sądźmy, że i czytelnik po tem, cośmy o nich powiedzieli, zda sobie sprawę z talentu p. Hulewicza.

Dość tu winniśmy, że p. H. w biegu swoich opowiadań rzuca od czasu do czasu słowa „mądrości“ własnej, będące niejako wyrazem jego filozoficznych poglądów na niektóre niezbadane tajniki psychicznej strony człowieka, przypominając nam tych ludzi, o których Epiktet w swych „Rozmowach“ (Entretiens) powiada, że radzioby, wyrzucić z siebie nieprzetrawiony pokarm natychmiast po jego spożyciu. Tak np. na 95 str. filozofuje w ten sposób: „jakim sposobem mózg — ta materyja może wydać myśl — tę abstrakcję? (zlituj się myślicielu!) Co za niedocieczoną tajemnicę przedstawia to połączenie ciała z umysłem?“ „Sądzę — zapuszcza się dalej p. H. — że cywilizacja nasza, jest tylko skomplikowaną i dumną ignorancją“ etc. etc...

To, cośmy powiedzieli na początku o debiucie beletrystycznym p. Hulewicza, powtarzamy raz jeszcze na zakończenie naszej oceny tych jego kilku drobiazgów. Nie żałujemy wcale, że p. Hulewicz, zamiast pisać w języku ojczystym, pisze w obcym; pisząc po polsku dałby nam to, czego już mamy aż za wiele, dzięki płodności naszych znanych autorów „wdzięcznych“ obrazków i „zręcznych“ nowelek.

P. Hulewicz, w najlepszym razie, powiększyłby ich grono.

W. Jabłonowski.

GŁOSY.

Ceny chleba. — Projekty ulg. — Z Brazylii. — Kolonizacja niemiecka. — Z Warszawskiego Dniownika.

— (o) P. p. piekarze warszawscy bardzo wymownie dowodzili, że ceny chleba nie mogą być niższe, jak są obecnie. Jeden z nich zamieścił na-

wet w *Kuryerze Warszawskim* najeżony cyframi artykuł w tej sprawie. Cyfry na pierwszy rzut oka wydawały się przekonywającymi i mało kto zaznaczył zasadniczy błąd w rozumowaniu. Ceny chleba bowiem nie zależą wyłącznie, jak chce autor, od cen zboża, gdy inne koszty produkcji, jak cena pracy, opału itd. pozostają niezmiennie.

No i okazało się w rzeczywistości, że chleb, który „nie mógł być tańszym“ staniał jednak o 1/2 kopiejki na funcie w większej części piekarni warszawskich. A pomimo to dzisiaj jeszcze ceny chleba pyłowego wahają się między 4 1/2 i 5 1/2 kop. za funt. Objaśnienia p. p. piekarzy nie tłumaczą do brze tej różnicy.

Ceny pieczywa pszennego, a również chleba razowego pozostały niezmiennione. Dla czego nie staniał chleb razowy wobec niżki cen żyta — może kto zechce wyjaśnić ten sekret.

Czy konkurencja, czy, jak niektórzy twierdzą, „interwencja“ zmusiła piekarzy do obniżenia ceny chleba, mniejsza o to, dosyć że stało się tak i że obiecują nam wkrótce nową obniżkę.

* * *

— (Ci.) Wobec nieurodzaju żyta i kartofli w kraju i Cesarstwie, a co zatem idzie i drożyzny wielu innych produktów spożywczych pierwszej potrzeby, wszelkie instytucje publiczne i przedsiębiorstwa większe winny w miarę sił pośpieszyć z pomocą skuteczną potrzebującym i biedniejszym, którym systematyczne podwyższanie cen dotkliwie już uczucie daje i wzbudza żywsze jeszcze troski i obawy na przyszłość.

Prasa też powinna podawać do wiadomości publicznej wszelkie tego rodzaju usiłowania, wiadomo bowiem, że dobry przykład jednych zachęca i innych do działania.

Pisma codzienne podawały luźne wiadomości o projektach wyjednania pewnych dodatków do pensyj etatowych dla służby na kolejach nadwiślańskiej i terespolskiej. Otóż, jakkolwiek wiadomości te nie były zupełnie dokładne i ograniczały się na ogólnikach, to jednak dyrektor kolei warszawsko-petersburskiej wystosował odezwę do zarządów kolei nadwiślańskiej, terespolskiej i warszawsko-wiedeńskiej, w których, powołując się na wiadomości o projektowanych dodatkach do pensyj dla służby, prosił o zawiadomienie, co mianowicie w tym kierunku zrobiono dla pracowników kolejowych, lub co zamierzają zrobić.

Interpelowane zarządy w odpowiedziach swoich udzieliły odpowiednich objaśnień co do projektowanej pomocy dla służby na czas drożyzny, co zapewne i dyrekcja kolei warszawsko-petersburskiej będzie naśladować.

Korzystając właśnie z tych odpowiedzi, możemy podać autentyczne szczegóły, co zrobiono na kolejach tutejszych dla służby wobec wzrastającej drożyzny.

Wiadomo powszechnie, że od pewnego czasu na kolejach tutejszych w różnym stopniu stosowane są oszczędności na personelu i innych rubrykach.

Najwcześniej i w stopniu najwyższym oszczędności wprowadzono na kolei nadwiślańskiej i te doszły do tego, że prawie niema ani jednego urzędnika, którego dochody nie zmniejszono, innym gratyfikacje odjęto, lub wynagrodzenie za prace nadetatowe, niektórym odebrano umundurowanie, służbie konduktorskiej zmniejszono „wiorstowe“, maszynistom „premia“ za oszczędność na opale itd. itd., dość że większym lub mniejszym stopniu, każdy poznał ten prąd oszczędnościowy, powiewający już od 1886 roku.

To też wskutek takich stosunków, obecna drożyzna najdotkliwiej dała się uczuć służbie kolei nadwiślańskiej i dla tego to urzędnicy tej kolei pierwsi wystąpili do władzy swojej z prośbą o zapomogę na czas drożyzny.

Dyrektor kolei przychylnie przyjął petycję delegatów wydziałowych, a także i obecny prezydent w radzie zarządzającej, p. Stefan Kossuth, wziął sprawę tę do serca i zyczliwie obiecał swoje poparcie w wyjednanu pewnych dodatków do pensji dla oficyalistów i urzędników skromniej uposażonych.

Na kolejach zaś warszawsko-terespolskiej i warszawsko-wiedeńskiej sprawą tą również żywo zajmują się dyrekcje i projekty wyjednania ulg dla służby są już na dobrej drodze.

O ile dotychczas wiadomo, wszyscy, pobierający pensyje do rs. 1,200 rocznie, mają otrzymywać w czasie drożyzny dodatki do pensji w stosunku procentowym, a mianowicie: pobierający do rs. 800 rocznie, otrzymywać mają — nieżonaci po 7%, a fa-

milijni po 10%, pobierający od rs. 800 do 1200 — żonaci po 8%, niezona ci zaś z tej kategorii, a także i wszyscy pobierający pensje wyższe, żadnych dodatków otrzymywać nie będą.

Robotnikom w warsztatach kolei nadwiślańskiej, jak donosi *Gazeta Warszawska*, podwyższono płacę dzienną o 10%.

* * *

— (p.) Korespondencje z Brazylii dr. S. Siemiradzkiego zawierają sporo ciekawych szczegółów i przedstawiają stosunki nieco inaczej:

„Źródłowe i bezstronne informacje o losie emigrantów polskich w Rio Janeiro okolicy zawdzięczamy przedstawicielom polonii tutejszej. Towarzystwo polskie, którego prezesem jest p. inżynier Kwakowski, sekretarzem p. Rybkowski, obaj będący aniołami opiekuńczymi przybywających tutaj rzemieślników naszych, liczy około 100 członków, będąc w składzie swoim bardzo niestałym z powodu, iż większość rzemieślników polskich pozostaje w Rio tylko czasowo, aby na powrót do kraju lub wyjazd do Stanów Zjednoczonych zarobić; większość ich próbowała już szczęścia w Chili, Paragwaju lub Argentynie. Zarobki w Rio de Janeiro, stosunkowo wysokie i łatwe do znalezienia, nie są w stanie zrównoważyć złego stanu zdrowotnego miasta, gdzie żółta febra, nawet teraz w zimie, wiele ofiar pomiędzy wychodźcami, zwłaszcza włoskimi i polskimi, zabiera.

Towarzystwo polskie istnieje zaledwie od grudnia i już nieocenione oddało usługi. Dzisiaj każdy zgłaszający się rzemieślnik dostaje zaraz u odpowiedniego majstra pomieszczenie, gdzie stosunkowo do uzdolenia pobiera zapłatę dzienną, nie niższą od 3 milreisów. Życie kosztuje go od 1 — 1 1/2 milreisa; jeżeli więc zdrowie mu służy, łatwo sumę potrzebną do dalszej podróży lub do założenia własnego warsztatu zebrać może. Widziałem rękawicznika ze Lwowa, który zarabia po 70 milreisów miesięcznie, obok całkowitego utrzymania; stolarza-polaka, zarabiającego po 10 milreisów dziennie i t. d. Najbardziej poszukiwanymi są murarze i stolarze do fabryk mebli, mających wielki odbyt; dobrze płatnymi są nadto zdolni rymarze, kowale, ślusarze i cieśle.

gorzej znacznie mają się chłopci na kolonijach okolicznych. Drobnii „fazendeiros“ godzą ich do uprawy kawy po 1 1/2 milreisów z utrzymaniem, lub po 2 bez utrzymania, z obowiązkiem załatwiania wszelkich sprawunków w „rendzie“ plantatora, gdzie ceny naczynają się dowolnie. Zwykle chłop po jakimś czasie pobytu na fazendzie, w okolicach Rio Janeiro, ucieka i stara się dostać na południe do kolonij polskich w Parana lub Rio grande do Sul. Robotnicy włoscy i hiszpańscy umieją nożem praw swoich dochodzić — polacy są za potulni i kończą zwykle ucieczką, nie czekając zapłaty.

Składem emigrantów polskich jest stacja Pineiro, na drodze z Rio Janeiro do San Paulo, położona w górach, w zdrowej okolicy. Pomieszczenie emigrantów na tej stacji jest wzorowe, strawę otrzymują dwa razy dziennie, ciepłą i pożywną: mięso, fasolę i ryż; czystość jest surowo przestrzegana, naczynia myją specjalni posługacze. Obecnie znajduje się w Pineiro około 1,000 osób, przeważnie z gubernii warszawskiej i płockiej, czekając wystania na południe. Śmiertelność, pomiędzy dziećmi zwłaszcza, jest wielka. Wszyscy, jak gdyby się zmówili, zarówno w Pineiro, jak też nowoprzybywający w chwili wylądowania na Ilha das flores, zapisują się do prowincji Parana i nie chcą słyszeć o innym pomieszczeniu.

* * *

— (x.) *Pieterburskija Wiedomosti* tak piszą o kolonizacji niemieckiej na Wołyniu:

„W ostatnich czasach koloniści zagraniczni wysłali ztąd do Petersburga mnóstwo podań o uprawnienie ich pobytu tutaj raz na zawsze na zasadzie prawa o czynszownikach z czerwca 1886 r. i prawa o osiedleńcach zagranicznych z czerwca 1888 r. Mnogość żądań tych zwróciła na siebie uwagę rządu, który też wyprawił do gubernii wołyńskiej delegatów dla wyjaśnienia kwestyi kolonizacji zagranicznej. Z badań tych okazało się, że kolonije cudzoziemskie znajdują się przeważnie w powiatach pogranicznych, a większość leży w tak zapadłych, lesistych kątach, że komunikowanie się ze światem i z władzami jest niemiernie utrudnione. Ogółem znajduje się na Wołyniu około 900 kolonij zagranicznych a niektóre z nich zajmują olbrzymią przestrzeń ziemi, posiadają mnóstwo zakładów przemysłowych, koleje, wyborne szosy i t. d. Do rządu tego rodzaju kolonij, tworzących niejako państwo w państwie, należą majątki: W. Kene w powiecie dubieńskim. Rau et Comp. w rówieńskim, Penkali (?) w krzemienieckim, Laubego, Stokmana

i wielu innych. Zdarzały się niejednokrotnie wypadki, że koloniści prawie przemocą zagarniali w swe ręce majątki, wydzierżawione od miejscowych obywateli ziemskich. W Bubnach, Lachowicach, Krynicznie i w innych punktach musiano uciec się wprost do siły zbrojnej dla wydalenia tego rodzaju kolonistów z cudzych posiadłości. Wogóle na Wołyniu kolonizacja zagraniczna ma wszelkie cechy najścia cudzoziemców na ziemię ruską; administracja miejscowa jest bezsilna wobec tego napływu. Ciekawy jest ten szczegół, że, odpowiednio do poszczególnych powiatów gubernii, zmienia się sposób postępowania z kolonistami. W powiatach pogranicznych koloniści czują się zupełnie jak u siebie; władze lokalne nie zaglądnę niemal wcale do kolonij i interesy urzędowe załatwiają z kolonistami za pośrednictwem „szulców“ (wójtów); tymczasem w takim powiecie łuckim prowadzi się dokładny spis wszystkich kolonistów, władze zajmują się bezpośrednio wszelkimi sprawami kolonij, „szulcowie“ muszą składać przysięgę — co nie praktykuje się w żadnym innym powiecie — papiery wszystkich nowoprzybyłych kolonistów bywają ściśle sprawdzane i t. d.“

* * *

— (x) *Warszawskij Dniownik* pisze:

„Każde święto, każda uroczystość cerkiewna w Warszawie dowodzi w sposób coraz bardziej przekonujący i nagły potrzebę nowego soboru prawosławnego. Liczba ruskich mieszkańców Warszawy wzrasta z każdym rokiem, i co rok ta potrzeba staje się niezbędną. „Głos ludu“ dawno już wybrał nawet miejsce dla tej świątyni, która powinna ozdobić Warszawę.

„Dosyć zajść do soboru przy ulicy Długiej w takie święta, jak np. Podniesienie Krzyża św., aby się przekonać i, że tak powiemy, doświadczyć na sobie, iż nowa, obszerna, wspaniała świątynia jest w Warszawie więcej niż konieczna: obecna świątynia stanowczo bywa przepelniona tłumami modlących się, lud się tłoczy w przedsionku cerkiewnym, przejść przez cerkiew nie ma sposobu, w samej świątyni brak powietrza od tłumów, ją napełniających. A iluż ludzi ruskich w dni takie jest poprostu pozbawionych możności być w cerkwi? Iluż jest takich, którzy wiedząc, że przedostać się trudno, a nawet niemożliwa, pozostają w domu, gdyż tak, czy owak, nie mają nadziei dostania się do świątyni?

„W ostatnich czasach w dziennikach stołecznych zjawily się wskazówki tej potrzeby słusznej i niecierpiącej zwłoki. Przypomnijmy tutaj, że przełożenie p. Głównego Naczelnika kraju, J. W. Gurko o zbudowanie nowego soboru w Warszawie, jeszcze w roku zeszłym zasłużyło na Najwyższą aprobatę, plany i projekty były już opracowane, z rozporządzenia Jego Ekszelleney, przez administrację tutejszą i złożone w ministerjum na początku roku bieżącego. Ale wydane w roku zeszłym rozporządzenie o oddaniu spraw, dotyczących budowy cerkwi w Królestwie Polskim, pod zarząd Synodu Najświętszego, pociągnęło za sobą również przeniesienie sprawy budowy w Warszawie nowego soboru z pod zarządu administracyi miejscowej pod zarząd Synodu Najświętszego. Obecnie my, ruscy warszawianie, winniśmy oczekiwać od niego możliwie rychłego dokonania tej sprawy, bardzo ważnej i niecierpiącej zwłoki. Należy się spodziewać, że Synod Najświętszy zwróci uwagę na tę naszą potrzebę i wzniesie w Warszawie świątynię, godną paującego w Rosyi kościoła prawosławnego.“

Z KRAJU.

Rozprawy o drożyznie i troska o tych, co mają stałe płace, a obojętność dla tych, co mają lub nawet nie mają wcale niestałych zarobków. Mniemany brak robotników w Dąbrowie. Jeszcze o nieurodzaju kartofli. Zapisy, czekające wykonania.

Ze wszystkich stron kraju dochodzą wiadomości o wzrastającej drożyznie produktów spożywczych. *Gazeta lubelska* podaje ciekawą tabliczkę porównawczą zawierającą ceny t. zw. artykułów pierwszej potrzeby w październiku bieżącego i zeszłego roku:

	1830	1891
Chleb: funt razowego kopiejek	2	3
„ sitnego „	2 1/2	4 1/2
„ pytłowego „	3	4 3/4
mąki pszennej funt	4	5 1/2
kaszy jęczmiennej kwarta	4	7
„ hreczanej „	5 1/2	9
„ jaglanej „	6	10

grochu polnego	3 1/2	6
kartofli korzec	rubli	2
kapusty kopa	kop.	40
słoniny funt	16	18.

„Jeżeli przeto, pisze dalej *Gazeta*, ceny na artykuły pierwszych potrzeb życia już wzrosły o 33 — 100%, co mają czynić ludzie, których potrzeby się wzmagają, a środki pozostają na jednym wciąż poziomie. Co mają robić urzędnicy i wogóle ludzie pobierający płace stałe, nie wzrastające w miarę wzrostu cen na produkty.“

Niewątpliwie urzędnicy i wogóle ludzie, pobierający pensje stałe znajdują się w bardzo przykrem położeniu, w każdym razie jednak w lepszym, aniżeli ci, co mają zarobki i szczuplejsze i niestałe, jak robotnicy i ubożsi rzemieślnicy, a zwłaszcza wyrobniicy. Co mają robić pierwsi — nie trudno odpowiedzieć: powinni ograniczyć swe potrzeby i tak już wprowadzić dosyć ograniczone. Bądź co bądź głodu oni cierpieć nie będą, ani marznąć w nieopalonych mieszkaniach. Tymczasem pisma nasze wyłącznie prawie zajmują się losem urzędników i innych osób inteligentnych, pobierających stałe pensje a zapominają o tych biedakach, którym głód istotnie zagraża, którym zabraknąć może na kupienie kawałka chleba lub miarki kartofli. Korespondent *Wieku* z Sosnowic, podając wygórowane ceny produktów (korzec kartofli 3 ruble 65 kopiejek) ubolewa również tylko nad losem urzędników kolejowych i wzywa zarządy dróg żelaznych wiedeńskiej i dąbrowskiej, ażeby dały agentom swym jednorazowy zasiłek. Nie przeczę wydanie takiej zapomogi byłoby bardzo pożądanem. Ale na kolejach pracują przecie nie tylko urzędnicy, są tam także niżsi oficjaliaści, dróżnicy, wreszcie w warsztatach tysiące robotników. Tym przedewszystkiem należy dać zapomogę bo najwięcej jej potrzebują.

Wobec wzrostu cen produktów spożywczych w najgorszym położeniu znajdują się ci, którzy ani stałej płacy, ani stałego zajęcia nie mają. Nie podobna w przybliżeniu nawet obliczyć tej rezerwy robotniczej, której cyfra waha się w różnych porach roku, zmienia się, stosownie do większego lub mniejszego ruchu przemysłowego, w każdym razie jednak wynosi kilkadziesiąt tysięcy głów w Warszawie oraz po miastach a osadach. Ludność tej kategorii jest może jeszcze liczniejszą po wsiach, w roku zaś bieżącym oczekiwać można wzrostu jej w zimowej porze, bo wobec drożyzny i braku produktów wielu gospodarzy zmniejszy liczbę służby i czeladzi.

Nie można też rachować w tym roku na większe ożywienie ruchu przemysłowego, jakkolwiek w ostatnich czasach zbyt towarów łódzkich poprawił się nieco. Fabryki nasze produkują w znacznej mierze towary na wywóz do Cesarstwa, dokąd obecnie z powodu nieurodzaju zbyt jest bardzo lichy. W dodatku przewidywać trzeba, że fabrykanci z gubernij wewnętrznych, nie znajdując odbiorców na miejscu, skorzystają z dogodnych taryf i wystąpią do współzawodnictwa na rynkach tutejszych.

Wprawdzie, powtarzam, w ostatnim miesiącu ożywił się nagle handel w Łodzi, ale to ożywienie, jak zdaje się słusznie wnioskuje *Dziennik* miejscowy, wywołała korzystna sprzedaż zboża wskutek zakazu wywozu. „Ludność wiejska, zdobywszy nagle gotówkę, poczęła czynić zakupy w większych wymiarach, niż w normalnym biegu rzeczy bywa w tym czasie.“ Takie jednak ożywienie handlu nie potrwa długo.

Oprócz produktów spożywczych drożyc zaczyna węgiel kamienny niewiadomo z jakiego powodu. Właściciele kopalń twierdzą, że przyczyną tego jest brak robotnika, tymczasem z miejscowości o kilka mil zaledwie od Dąbrowy oddalonych, z powiatów miechowskiego i olkuskiego w gubernii kieleckiej piszą, że zarobek ludności wiejskiej obniżył się znacznie i mnóstwo ludzi szuka napróżno pracy. Wogóle żeby mówić u nas o braku robotnika, z wyjątkiem pory żniw i to w niektórych okolicach tylko, trzeba pewnej dozy czelności. Przedsiębiorcy dąbrowscy, jeżeli potrzebują robotnika, z łatwością mogą sprowadzić go w ilości, jakiej zechcą, chociażby nawet z Warszawy, gdzie tylu ludzi napróżno doprasza się bodaj najlichszego zajęcia. Prawdopodobniejsze objaśnienie podrożeń węgla daje pogłoska, której dotychczas nie można było stwierdzić, o zmwie właścicieli kopalń czyli, jak teraz znową taką nazywają — o syndykacie.

Płaca zarobna waha się około niezbędnych kosztów utrzymania robotnika, wraz z drożyzną więc produktów powinna się podnosić. Ale właściwie

podnosi się wtedy dopiero, kiedy podrożenie to jest stałem, w pierwszej chwili zaś spada nawet czasem, bo podaż rąk do pracy wzrasta. Przez czas pewien i to dosyć znaczny może stać ona niżej poziomu niezbędnych kosztów utrzymania pracownika, który zmuszony będzie systematycznie głodzić się, to jest niedojadać. Oto np. co piszą *Dziennikowi dla wszystkich* z Ozorkowa: „Produkty zdrowywały niesłychanie, dziś już kartofle płacić trzeba po trzy ruble za korzec, chleba funt kosztuje 5½ kopiejek, kasza, mąka i wszystko podrożało prawie o połowę ceny, a sukiennictwo upadło zupełnie, w fabrykach, szczególnie żydowskich, wyzyskują, jak tylko mogą, tak, że kiedy dawniej pracownik dorosły zarabiał tygodniowo rubli 4 lub więcej, dziś zarabia 2 ruble, a czasem mniej”. Dwa ruble tygodniowo — zarobek taki wobec cen istniejących wystarczy zaledwie na chleb i kartofle dla jednego człowieka, a z czego utrzyma rodzinę, jeżeli ją ma, z czego opłaci mieszkanie? Czyby pp. właściciele kopalń w Dąbrowie nie mogli sprowadzić z Ozorkowa robotników, których im brakuje?

Pocieszającym byłby wynik obrad w sekcji rolnej Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, gdyby można było wierzyć temu wszystkiemu, co tam mówiono. Na posiedzeniu sekcji p. Łuniewski odczytał swój referat o tegorocznym zbiorze kartofli, z którego ważniejsze cyfry poprzednio już przytoczyliśmy. W sprawie tej p. Łuniewski jest niewątpliwie powagą — nie taką wcale, jak są inne powagi nasze, od lat wielu zbiera on dane o uprawie kartofli w kraju, zna się na rzeczy wybornie, na zdaniu więc jego osobistym prędzej polegać można, aniżeli nawet na sprawozdaniach statystycznych, wiadomo w jaki sposób zbieranych. Oponenti opierali się wyłącznie na spostrzeżeniach osobistych, twierdząc, że nieurodzaj będzie znacznie mniejszy. Właściwie jeden tylko p. Dmochowski dał, jak się zdaje, godne uwagi objaśnienie. Zaznacza on, że alarm o ogólnym nieurodzaju kartofli powstał z tego powodu, iż gatunki wcześniejsze (amerykańskie, rychliki) obrodziły istotnie bardzo mało, natomiast późniejsze, „twarde” kartofle wprawdzie obrodziły gorzej niż lat innych, ale nie tak źle, jak z początku sądzono. P. Łuniewski wszakże nie przypisuje swym cyfr absolutnej ścisłości, znaczą one jedynie to, że jeżeli późniejsze wiadomości o zbiorze tak samo brzmieć będą, jak wcześniejsze, niedobór może wynieść około 100 milionów pudów. Ale gdyby nawet cyfrę tę zmniejszyło do połowy, to i tak niedobór kartofli będzie wielki. Nawet jeden z oponentów, p. Jeziorański „obliczył”, jak piszą sprawozdawcy, chociaż, ciekawa rzecz, na jakiej podstawie, że niedobór wyniesie 9 do 10 milionów korcy, co stanowi około 2/3 cyfry, podanej przez p. Łuniewskiego.

Ma się rozumieć, praktykowanym u nas zwyczajem, sekcja rolna postanowiła najprzód zebrać za pomocą kwestyjaryjuszów dane o tegorocznym zbiorze kartofli. Danych tych mają dostarczać, *nb.* jeżeli zechcą, delegaci taksowi Towarzystwa kredytowego ziemskiego, następnie specjalna komisja opracowuje nadesłany, *nb.* jeżeli ten nadejdzie, materyjał, i wyniki przedstawia jednemu z przyszłych zebrań. W ten sposób doczekamy się zapewne przyszłorocznego zbioru kartofli i pytanie, co robić w obec strasznej klęski stanie się anachronizmem.

Skarżymy się nieraz, że spadkobiercy nie szanują woli zapisodawców i zwalają ich testamenty, zawierające ofiary na cele publiczne. Tymczasem są znowu zapisy, i to dosyć znaczne, z których nikt nie korzysta, są konkursy np. na które nikt prac nie przysłał itd. Jednym z powodów tej obojętności jest może ta okoliczność, że wiadomości o zapisach, podawane dorywczo a następnie nie powtarzane, nie dochodzą do wiadomości interesowanych. Niepodobna też czasem zasięgnąć dokładniejszych informacji. Ja sam oto przed paru laty wyczytałem w *Kuryjerze warszawskim* wiadomość, że wespół z kilkoma innymi osobami naznaczony zostałem wykonawcą zapisu, którego cel, określony w zapieczętowanym kodycyli, dopiero za lat parę będzie znany. Jednego z wykonawców znałem, porozumiałem się więc z nim, ale on nie również o zapisie nie wiedział, oprócz tego, że jest wykonawcą. Chciałem zasięgnąć informacji w redakcji *Kuryjera*, ale reporter, który wiadomość podał, nie pamiętał już (bo upłynęło kilka tygodni), u jakiego notaryjusza testament złożony. O zapisodawcy wiedziałem, że był zamożnym studentem, znajomych jego odszukać nie mogłem, ani dowiedzieć się: z kąd pochodzi. O tem, że w testamencie nazaczył mnie wykonawcą zapisu, nikt mnie nie za-

wiadomił, czekam więc cierpliwie terminu, bo może to dopiero wtedy będę miał prawo dowiedzieć się, o co chodzi. Ciekawa rzecz jednak, jak i gdzie mnie lub innych szukać będą, jeżeli zmienimy miejsce pobytu, albo np. wyjedziemy z kraju.

A oto dwa przykłady takich zapomnianych zapisów:

„Dobiega już 5 lat, pisze *Kuryjer warszawski*, jak zmarły ś. p. Edward Górecki uczynił zapis rs. 78,000, na rzecz ufundowania domu podrzutek w obrębie gub. lubelskiej, Wiadomość o tym zapisie była umieszczona w Nr. 337 z 1886 r. „Kur. Warsz.” z zaznaczeniem, że egzekutorem testamentu jest mianowany p. Władysław Szemetycki, mający pełne prawo wprowadzić zapis w wykonanie, według własnego uznania.

„W trzy lata później p. Szemetycki zmarł, — przekazując swe prawo synowcowi, p. Czesławowi Szemetyckiemu, a zarazem dopełnił zapis Góreckiego ofiarą rs. 30.000 z własnego majątku. Byłby już chyba czas wielki pomyśleć o wykonaniu podwójnego zapisu.

Podobno pieniądze są złożone w oddziale banku państwa w Wilnie czy też Kownie.

Egzekutor testamentu od 1889 r. bawi zagranicą i, jak się zdaje, nic w tej sprawie nie przedsięwziął.

Dziennik dla wszystkich w korespondencji z Ozorkowa podaje znowu wiadomość, że zmarły przed kilku laty ś. p. Henryk Schlösser właściciel fabryki przędzalni bawełny, zapisał 40 tysięcy rubli na zakład dla starców, ale spadkobiercy nie myślą jakoś o wykonaniu ostatniej woli nieboszczyka.

Widocznie albo za dużo mamy pieniędzy na cele publiczne, albo nie mamy żadnych potrzeb pilnych i ważnych, kiedy sumy takie bezużytecznie leżą.

J. Nieborski.

Korespondencyja „Głosu“.

Młodzież inteligentna na prowincyi.

Spotkawszy w ostatnich paru NN. *Głosu* charakterystykę życia prowincjonalnego, zapragnęłam dodać kilka słów od siebie w danym przedmiocie, ufna, że głos kobiety oświetli z innej strony tę sprawę. Mieszkam od lat 10 w Obrzydłóweku, miałam więc czas i sposobność poznać życie prowincyi i wpływ, jaki na nie inteligencyja miejscowa, a raczej ono na nią wywiera. Wywody „przyjaciela” z Suwałk mają zaledwie cień słuszności, o ile dotyczą początkujących prawników, i wyglądają do pewnego stopnia na samoobronę. Ktokolwiek zna życie prowincyi, musi przyznać, że inteligencyja małomiasteczkowa mało bardzo oddziaływa na swoje otoczenie i że praca nad uzupełnieniem wiadomości z danego zawodu nie zabiera jej tak wiele czasu. Najlepszym tego dowodem są częste skargi na brak zdolnych lekarzy, prawników, techników, nie biorąc nawet w rachunek aptekarzy. Zresztą, chcąc być zupełnie sprawiedliwą, podzieliłabym młodzież inteligentną, przychodzącą na prowincyję, na dwie kategorie.

1) Ludzi, którzy studia uniwersyteckie uważali tylko jako pracę dla chleba i poświęcali im zaledwie tyle czasu, ile tego konieczność wymagała, resztę pozostawiając na uczyt koleżeńskie, okraszane wintem, baliki, ślizgawki i t. p. przyjemności.

Ludzie ci nie mogli i nie umieli wytworzyć sobie jakiegos ideału społecznego, do którego by w życiu dążyli. Wierzyli zaś w to, że społeczeństwo powinno ocenić ich naukę i odpłacić za trudny złotym deszczem, spływającym do ich kieszeni; nie myśleli tylko i nie pamiętali o tem, że i oni mają jakieś względem tegoż społeczeństwa obowiązki.

2) Do drugiej kategorii zaliczyłabym ludzi, którzy z zamiłowaniem oddają się przygotowawczym do danego zawodu studjom. Nauka zabierała im czasu wiele, resztę chętnie poświęcali gawędom z poważniej myślącymi kolegami. I ci to właśnie szli, jak tu pan Z. W. zauważył, na prowincyję z zapasem sił i energii, czując, że nie tylko trzeba zdobyć dla siebie chleba kawałek, ale jeszcze wywiązać się z zobowiązań, jakie względem społeczeństwa przyjęli.

Postaram się pokrótce przedstawić historję pobytu na prowincyi jednej i drugiej kategorii.

Młody człowiek, elegancki, wyrobiony towarzysko, gładki, dobrze tańczący i wintujący — podbija sobie ogólnie wszystkich. Skazany w początkach na bezrobocie — przegląda pozostałe mu dzieła, odnoszące się do jego zawodu, prenumeru-

je lub pożyczka jakieś pisemko i — czyta. Zmęczony wychodzi odetchnąć świeżem powietrzem, lecz tam spotyka się ze znajomymi. A, witamy kochanego doktora, lub adwokata. Gada-gada, aż tu jeden prosi na wincika: zebrało nas się wypadkiem kilku zróbmy partyjkę, lub: żona X. wyjechała, chodźmy biedaka pocieszyć, a przytem, wie pan, to doskonały wincista.

Wieczorki więc układają się mniej więcej jednakowo, a jeżeli już zbraknie domu, gdzieby grać można, bo kobiety się krzywią, to idą razem na bilard. Tam to, panie, przy partyjce i kieliszeczku zapomni człek o troskach i obowiązkach nawet. Jak taki stan rzeczy oddziaływa na rodzinne i towarzyskie stosunki, czyż mówić potrzeba.

Powoli jednak wyrabia się klientela, zwiększa się; dzień staje się krótszy, czasu coraz mniej; pierwsze więc idą w kął specjalne książki, i choć służą jeszcze jako ozdoba biurka, zagląda się do nich tylko w wyjątkowych razach, wtenczas mianowicie, kiedy odegrać mają rolę mentora.

Czyta się jeszcze to i owo, ale że przy wincie nie ma czasu i zwyczajnie o książkach mówić, a przytem, gdy się gra późno w noc, trzeba się przespać po obiedzie, więc powoli młody człowiek odwyka od książek i obchodzi się bez nich doskonale. Od czasu do czasu przeczyta jeszcze jakąś powieść, żeby mieć możność pochwalenia się znajomością literatury w kółku kobiecym.

Życie prowincyi jest nudnem i jednostajnem, ale jednakże, wzięwszy w rachunek winta, bilard, baliki, teatry amatorskie, wizyty i spacerki — zabiera czasu dużo, tak dużo, że go dla książek bardzo mało zostaje. Z żalem się patrzy na marnujące się w ten sposób jednostki, ale to fakt, że są wszędzie i nawet w naszym małym Obrzydłóweku kilka ich naliczyć można.

Czy można się dziwić, że przywykły do podobnego trybu życia, ludzie ci nie umieją wyrzec żadnego dodatniego wpływu na swoje otoczenie? Choć z drugiej strony trzeba dodać i to, że oni go ani szukali, ani też mieć chcieli.

Spójrzmy teraz na drugą kategorię, na ludzi, którzy z lampką w ręku szli wskazywać drogę innym, szli ożywieni uczciwą myślą, z sercem gorącym, z umysłem odpowiednio przygotowanym, ale bez znajomości życia. Wierzyli bowiem, że ożywieni dobrymi chęciami łatwo znajdą klucz do serc i głów swych współbraci.

Bywali więc wszędzie i korzystali z każdej sposobności, żeby podnieść jakąś zdrową myśl, przedstawić dobry, ogólną korzyść na celu mający, projekt. Lecz do kogo tu mówić, kiedy mężczyźni, zaledwie się przywitani, nie tracąc czasu siadają do stolika, a kobiety — kobiety, albo tego nie rozumieją, albo, choć przytakują, na czynną ich pomoc liczyć nie można. Próbuje raz, drugi, dziesiąty... Mężczyźni krzywią się, że z nimi nie gra, nie pije, że chwali się swoim rozumem, że wszystko w Obrzydłóweku gani, że chciałby, panie tego — wprowadzić jakieś reformy. Usuwają się więc powoli od niego, a on zrażony i rozczulony decyduje, że to — bydło i że pracować dla ich dobra — strata czasu. I stają wobec siebie, jak dwa wrogie obozy: oni gromadą, a on sam jeden, bez żadnej podpory, bo ludzie równi mu poziomem umysłowym albo już zapleśniali i czują się szczęśliwi, albo nigdy nie mieli wyższych pragnień. Skłuty, rozbity i złamany traci wiarę w ludzi, w możność dążenia ku lepszemu, opuszcza prędko skrzydła, zamyka się w domu z goryczą w sercu i albo oddaje się pracy, albo też ciągnie z dnia na dzień marną egzystencyję. Społeczeństwo liczyć na niego nie może, bo patrzy na nie z wysokości swej obrażonej dumy.

Nie pyta się wprawdzie, co on sam zrobił, czemu nie pracował dalej, czemu miał tak mało sił i wytrwałości. Wiele mu się nie udawało — to prawda, lecz niechby próbował oddziaływać w inny sposób, a może doszedłby do pomyślniejszych rezultatów. Jeżeli jest człowiekiem zdolnym, czyż nie mógłby oddziaływać na ogół za pośrednictwem prasy. Wszak codziennie prawie czyta się narzekania na brak sumiennych korespondentów z prowincyi, na obojętność ogółu, na zostawione bez odpowiedzi kwestyjaryjusze.

Czemuż nie obrabiają choćby tej niwy społecznej? Jest podobno jeszcze trzecia kategoria ludzi czynu i pracy, ludzi z silną wolą i dzielnym charakterem, nie zrażających się przeciwnościami. Słyszałem o nich, ale w Obrzydłóweku takich niema, więc o nich nie piszę.

Kobieta z Obrzydłówka.

* * *
Poruszona przez nas w „Listach do przyjaciela” sprawa inteligencji prowincjonalnej znalazła w sferach czytelników pewien oddźwięk; notujemy to z niezwykłym zadowoleniem.

Niedawno daliśmy w tem miejscu głos czytelnikowi z Suwałk; dziś umieszczamy list kobiety, która przyglądała się inteligencji prowincjonalnej w gub. Płockiej. O ile, wedle słów korespondentki, uwagi przyjaciela z Suwałk były „samo-obroną”, o tyle jej własne obiektywne wizerunki inteligencji małomiejskiej są wyrazem pewnej samokrytyki, bardzo pożądanej w procesie uświadamiania.

W odpowiedzi na też „Listy” otrzymaliśmy od *Drogostawa* z gub. Podolskiej obszerną i bardzo ciekawą rozprawę, w której autor charakteryzuje stanowisko współczesnej inteligencji prowincjonalnej wobec programów społecznych. Druk tej pracy zaczniemy w najbliższym numerze *Głosu*.

Prócz tego pewien *Obserwator* z Piotrkowa nadesłał kilka uwag o inteligencji miejscowej. Brak miejsca nie pozwala nam przytoczyć ich w całości, podajemy je więc w streszczeniu:

W Piotrkowie „większość inteligencji, zwłaszcza ze starszych, zachowuje się zupełnie obojętnie względem wszelkich podnioslejszych dążeń; po za swoją specjalnością nie interesują się żadnymi zagadnieniami społecznymi lub naukowymi”. Praca ich koło dobra publicznego ogranicza się do wyborów do zarządu straży ogniowej lub towarzystwa dobroczynności; „panują tu ożywienie tylko wtedy, gdy wchodzi w grę interesy partyjne lub prywatne, ukrywane zawsze pod maską interesów dobra publicznego”.

Podług autora, inteligencja odznacza się w pojęciach liberalizmem, lecz zarazem brakiem zmysłu społecznego. Ze stanowiska absolutnej swobody odmawiającego znaczenia sprawie żydowskiej, zamykając jakby umyślnie na życie, które przemawia do nich faktami; to samo w sprawie ograniczeń w kupowaniu ziemi włościańskiej i t. d.

W dziedzinie czytelnictwa powodzenie mają jedynie rzeczy beletrystyczne, pisma obrazkowe i gazety.

Autor dodaje do tego parę uwag o czytelnictwie ludowym, w odpowiedzi na artykuł „Popularne hasło”. Notuje mianowicie, że na głębokiej prowincji niema wcale kolporterów książek ludowych; lud sam książek nie poszukuje i nie nabywa, dopóki ktoś z inteligencji nie dostarczy mu ich. W końcu przychodzi autor do wniosku, że szczupła garstka młodej inteligencji myśli i pracuje. „Kto w uniwersytecie szczerze czuł i myślał, ten nie przepadnie dla społeczeństwa i na partykularzu, kto zaś udawał tylko, ten będzie zawsze zjadaczem chleba”.

Przegląd społeczny.

Ł ó d ź. (Kor. „Głosu”). W swoim czasie donosiłem o zbiorowym podaniu przez urzędników drogi żelaznej fabryczno-łódzkiej do prezesa prośby o podwyższenie etatów na mieszkania, których drożyzna, jak wiadomo, jest oddawna chroniczną klęską naszego miasta. Obecnie wskutek panującej drożyzny środków spożywczych urzędnicy drogi wzmiankowanej wystąpili ponownie do prezesa z żądaniem, jeśli nie podwyższenia etatów, to chociaż udzielenia im jednorazowej zapomogi. Za dowód drożyzny obecnej przedstawiono dyrektorowi bułkę nowego wypieku, wielkości kurzego jaja. Dyrektor inżynier Knapki przyrzekł poparcie. Wobec interwencji władz ministerjalnych w sprawie słusznych żądań urzędników dróg żelaznych, spodziewać się należy, iż tym razem pan prezes drogi łódzkiej do prośb urzędników przychylić się nie omisszka. — P. Stanisław Kurowski b. obywatel ziemski powziął projekt zaprowadzenia komunikacji omnibusowej na przestrzemi: Ozorków-Łódź i Łódź-Pabjanice-Zduńska Wola. Prócz omnibusów pasażerskich p. K. zamierza również puścić w ruch pewną liczbę wozów frachtowych dla przewozu towarów, wróżąc sobie z przedsiębiorstwa, przy ustanowieniu najniższych opłat za przewóz, znaczne zyski. — W organizacji i składzie osobistym łódzkiej inspekcji fabrycznej zaszyły radykalne zmiany. Dotychczasowy pomocnik inspektora fabrycznego warszawskiego okręgu, inżynier Rykowski opuszcza Łódź, udając się do Piotrkowa dla objęcia stanowiska inspektora

fabrycznego okręgu piotrkowskiego. Urząd pomocnika inspektora w Łodzi objął p. Sietnicki. — Z powodu zastoju w przemyśle wełnianym, a pomyślnego biegu interesów w bawełnianym, niektórzy fabrykanci zamierzają przy fabrykach wełnianych zakładać oddziały dla wyrobu towarów bawełnianych. W ostatnich bankructwach kilku firm handlowych w Odessie, łódzkie fabryki zaangażowane są na dość znaczne sumy. — W pierwszych dniach ubiegłego tygodnia bawił w mieście naszym p. minister oświaty hrabia Delanow.

Izar.

— **Wąchock** w pow. Iżęckim (Kor. „Głosu”). W niedzielę 11 października w czasie nabożeństwa odpustowego wszczął się tutaj pożar w żydowskiej piekarni i niebawem objął przyległe domy z taką szybkością, że w ciągu godziny spłonęło około 100 domów z zabudowaniami gospodarczymi, a w tej liczbie kilka stodół. Ogółem spłonęło $\frac{3}{4}$ domostw naszego miasta. Straty obliczają na 200,000 rs. Kilka osób zostało poparzonych. Przy ratowaniu wielu nieuczciwych ludzi korzystało z popłochu, kradnąc rzeczy, wyrzucane na ulicę. Najmniej $\frac{1}{4}$ ludności naszego biednego miasta pozostało bez dachu i chleba. Zbliża się zima, głód. Trudno wyobrazić sobie, tym bardziej opisać rozpacz nieszczęśliwych. W imię ludzkości wzywam ludzi, mających litość w sercu, o pomoc dla pogorzalców. Ofiary można przysyłać na ręce miejscowego proboszcza.

M. O.

Z pod Serocka. (Korespond. „Głosu”). Słyszając narzekania z różnych stron kraju o nieurodzaju i psuciu się ziemniaków, uważałem je za przesadzone, bo jakkolwiek w niektórych miejscach wygniły, nie powschodziły wcale, ale pozostałe zapowiadały się zadawalniająco. Lecz, niestety, było to tylko złudzenie. Przekonałem się o tem przy kopaniu, gdyż móg 300-tu prętowy daje od 30—60 korcy, sadzonych w znacznik. U służby dworskiej i włościan jest o wiele gorzej. Parobcy mają ziemi po 150 prętów, z czego wykopali od 10 do 14 korcy drobnych, łykowatych kartofli, w tej liczbie czwarta część jest niezdrowych, które dłużej nie przechowują się, jak do Nowego roku. Rodzi się pytanie, co będą jeść przy takiej drożyznie (rs. 2 kop. 40 korzec) bezrolni robotnicy i wyrobnice wdowy, którzy prawie wyłącznie żywią się kartoflami? Zwykle w czasie kopania kartofle bywają tańsze. Wielu włościan z niższych miejscowości, jeżeli kartofle się psują, wywożą je zaraz z pod motyki na rynek, chcąc spieniężyć produkt, który do wiosny uległby zgniciu. Pomimo to kartofle dochodzą do takiej ceny, jakiej nie pamiętam w jesieni. Należy przypuszczać, że do siewu dojdą do 4 rubli za korzec. Rok więc ten trzeba uważać za prawdziwie klęskowy dla pracującej ludności, bo przy nieurodzaju kartofli i drożyznie chleba zarobki jej nic się nie powiększyły. Należałoby zająć się kwestyją, gdzie mianowicie ludność nie będzie mogła przeżyć się do nowych zbiorów, co po wykopaniu kartofli łatwo można byłoby sprawdzić. Nadmienić też muszę, że jeden z większych właścicieli ziemskich naszej okolicy, przekonawszy się o niemożności wyżywienia swej licznej służby przez zimę, przyszedł jej z pomocą, dając na jedną rodzinę po 10 korcy kartofli i po korcu żyta. — Narzekają panowie lekarze na ciemnotę ludu i trudną walkę ze znachorami, lecz, mojem zdaniem, winni sobie to sami przypisać, jeżeli nie umieją pozyskać zaufania ludu. Znam kilku młodych lekarzy, którzy jednak potrafili umiejętnym postępowaniem i oddaniem się z całą gorliwością swemu zawodowi, tak osłabić wpływ znachorów, że ci zaprzestali swego rzemiosła. Są jednak i tacy, którzy, gdy przyjdzie do nich młoda dziewczyna, dajmy na to z chorą ręką, chcą się pierwszej przekonać o jedności innych części ciała, przeciw czemu dziewczyna z oburzeniem musi protestować. Przytem lekarz mniej nie weźmie za najmniejszą poradę od biednych pacjentów jak 50 kopiejek. — Drugi przykład: Jest sławny znachor w Zabłociu, naczelnym owczarz w dobrach księcia Radziwiła. Z wróżenia ciągnie on ogromne zyski. Lud mu wierzy, bo dodaje mu to sławy, że jest taką figurą u księcia. Ale jakże ma mu niewierzyć? Zachorowała fernalowi 16-to letnia dziewczyna; puchnie jej noga i ręka. Udaje się on do znachora; ten powiada, że dziewczynę oczarowała ta oto kobieta; odczynił jej niby to czary, za co wziął sześć rubli. Pomimo to dziewczynie otwiera się rana i wychodzi kość ramieniowa. Na moje naleganie przywieziono wreszcie doktora, który, spojrzawszy zaledwie na chorą, kazał odwieść ją do szpitala, nic nie objaśnawszy, co to za choroba. Wprawdzie po wielkich prośbach ze strony biednego fernala wziął tylko rubla (za 3 wiorsty drogi). Chłop zaś wytłomaczył sobie milczenie pana doktora, że „to

są czary, tylko pany nie chcą tego powiedzieć”. Następnie fernal, wystarawszy się o potrzebne świadectwo od wójta, pojechał z chorą do szpitala w Pułtusk. Tam doktorzy nie chcieli jej przyjąć nie dla braku miejsca, lecz jak mówią, że było już zapóźno, bo ona już najmniej pół roku jest tak chorą i że choroba ta pochodzi od stłuczenia; w końcu radzili zawieść chorą do szpitala w Warszawie. Gdy im przysięgano że choroba trwa pięć tygodni i że córka nie miała żadnego wypadku, doktorzy nie wierzyli. Powróciwszy ze swej wędrowki z chorą do domu, opowiadał z płaczem i narzekaniem o doktorach, że tylko pieniądze biorą, a nic nie pomagają. Nie umiałem na te jego argumenty odpowiedzieć.

W. G.

Z Sandomierskiego. (Kor. „Głosu”). Po za zyskiem naszego chłopca przez żydów-lichwiarzy, którzy w tym roku, wobec ogólnego prawie nieurodzaju na żyto i kartofle, znajdują obszerne pole działalności, po za pokątnymi doradcami i całym szeregiem innych pijawek, wysysających ostatnie krople krwi ze spracowanego organizmu chłopskiego, istnieje u nas jeden jeszcze rodzaj żydowskiego wyzysku. Nie dość jaskrawo, aby mógł od razu rzucić się w oczy niewtajemniczonymu w wiejskie sprawy badaczowi, istnieje on jednak w wielu bardzo miejscach i nieraz we znaki się daje włościanom naszym. Jak wiadomo większa część starszych gospodarzy wiejskich u nas jest niepiśmienna. W zwykłych warunkach brak ten niebardzo odczuwają oni, gdyż listów nie pisują wcale, a przy układaniu wszelkich kontraktów i zawieraniu umów znajdują usługnych, choć nie bezinteresownych wyręczyteli w postaci pokątnych doradców. Nieumiejętność pisania i czytania silniej czuć im się daje dopiero w chwili, gdy dorosnie syn i zostanie wzięty do wojska. Synowie, należący już do młodego pokolenia, albo sami umieją pisać, albo też w wojsku znajdują sobie kogoś, kto im listy do rodziny stylizuje. Niezbyt to zazwyczaj obfita w treść korespondencja; listy wszystkie na jedną pisują się modłą: po tysiącrotnych pozdrowieniach dla ojca, matki, sióstr, braci, kumów i swatów, następuje stereotypowa prośba o przysłanie pieniędzy. Rodzicom jednak przyjemnie odebrać i taki znak życia od dziecka, w dalekich przebywającego stronach. Mnie samemu nieraz zdarzało się podziwiać rozrzewnienie, z jakim stara matka lub ojciec słuchali prostych słów, ręką syna w Astrachaniu albo Tyflisie pisanych. Nic dziwnego, że na listy takie pragną oni odpisać, że odmawiają sobie często ostatniego chleba kawałka, aby tylko zebrać parę rubli i posłać dziecku do wojska. Dawniej w pisaniu takich listów znajdowali niepiśmienni ojcowie chętną a bezinteresowną pomoc we dworach. W ostatnich jednak czasach, czy to wskutek zwiększenia się nieufności względem dziedziców, czy może wskutek jakich innych, od dworu wpływających przyczyn, coraz rzadziej zwracają się oni do dziedzica lub dziedziczki z prośbą o napisanie listu, wynajdując sobie natomiast płatnego pisarza z miasteczka. Pisarzem takim bywa zazwyczaj jakiś właściciel sklepu lub szynku, usługny żydek, który nauczył się, nie wiedzieć z kąd, początków pisania i oczywiście korzyści z tego ciągnąć pragnie. Za napisanie listu „sekretarze” tacy każą sobie płacić od 25 do 30 kopiejek. Żałuję, że nie mam pod ręką jednego przynajmniej z tych arcydzieł żydowskiego stylu i dowcipu. Niedawno właśnie czytałem list od rodziców niby do syna, przez niejakiego Opatowskiego, właściciela sklepiku w Sandomierzu redagowany, a zaczynający się od słów: „Kochany syn nasz Bober”. Było tam wiele wzniosłych nauk moralnych, była nawet wielce pouczająca wzmianka o Panu Jezusie, końcowe zaś słowa brzmiały: „całujemy cię, kochany nasz syn, w głowę, w ręce i nogi (sic!) twoi rodzice. O wspaniałej ortografii tego szacownego dokumentu wspominać chyba nie potrzeba. Przypuśćmy, że rodzice piszą do syna sześć tylko listów na rok. Rs. 1 kop. 80, które za nie otrzymuje przedsiębiorczy żydek, nie stanowiło by jeszcze zbyt wygórowanej sumy, choć i ona w budżecie włościańskim grać pewną rolę może. I te jednak pieniądze stają się wyrzuconymi za okno wobec faktu, że listy, przez takich układane stylistów, stoją literalnie niżej wszelkiej krytyki. Nie zapominajmy jednak o tem, że „pan pisarz” tego gatunku nie zadowolni się nigdy tak skromną zapłatą, lecz najmniej drugie tyle wyciągnąć od chłopca potrafi, dzięki rozmaitym manipulacjom przy kupowaniu papieru i marek, zwłaszcza zaś przy wysyłaniu pocztą pieniędzy. Czy wobec tego nie należało by np. panom proboszczom, którzy przecież pierwszy mają obowiązek czuwania nad owieczkami swoimi, wejrzeć w sprawę pisania listów po wsiach? Czy nie należało by im ogłosić w swoich parafjach, że w takie a takie dni, przynajmniej 2 razy na miesiąc, chętnie i bezinteresownie pisują listy parafjanom swoim? Ręczymy, że,

pomijając już korzyść materialną właścian, zyskała by na tem wiele i strona ich moralna.

Miles.

Z CESARSTWA.

Mińsk gub. (Kor. „Głosu“). Wracając do przeglądu spraw bieżących, nie mogą przedewszystkiem pominać milczeniem ogólnego zebrania członków mińskiego towarzystwa rolniczego, które odbyło się w dniu 12 (24) września przy udziale 42 osób. Między innymi sprawami została wniesiona propozycja niżegorodzkiego ziemstwa, czyby M. T. R. nie podjęło się dostawy zboża dla tegoż ziemstwa. Kwestyja na pozór niewinna, a jednak wywołała na sesyi nader ożywione teoretyczne rozprawy. Jeden z członków, p. Czapski, zaopiniował, iż interes ten trzeba przyjąć, należy go jednak rozpatrzyć wspólnie ze sprawą dostawy zbożowej do mińskich składów wojskowych na rok przyszły. Jakkolwiek do magazynów tych potrzeba będzie dostawić 195 tysięcy pudów zamiast zwykłych 95 tys. (z czego 170 tys. pudów ma pochodzić ze zbiorów tegorocznych), wszakże należy przyjąć tę aferę, aby nie stracić klienteli. Potrzebna ilość zboża wiina się znaleźć, gdyż urodzaj był średni i zapasy jego muszą być dostateczne; jakkolwiek niemało zboża wyszło za granice, to jednak gorączka wywozowa dotknęła tylko niewielkiego pasu w promieniu 35 wiorst od kolei żelaznej. Wobec tego p. C. mniema, iż towarzystwo może i powinno się zająć oboma dostawami, jeżeli nie chce wywołać konkurentów; musi jednak stanąć na handlowej stopie. Jednym słowem p. Czapski chce, żeby towarzystwo było komisyjnerem ziemstwa.

Przeciwko temu wystąpili pp. Bogdaszewski, Torczyński i inni, dowodząc, iż towarzystwo nie może rzucać się do handlu, że mu faktorstwo nie przystoi i że cele jego są wyłącznie gospodarsko-ziemiańskie. Inni, jak Prószyński, Lubański i Domański, trzymali stronę p. Czapskiego. Pierwszy oznajmił, iż faktorstwa niema czego wstydząć się, gdyż rozszerza ono sferę umiejętności, drugi powołał się na tow. kijowskie, które przecie ma składy handlowe; wreszcie p. Domański wyraził się, iż gospodarstwa rolnego niepodobna oddzielać od strony handlowej, gdyż obie sprawy są ściśle ze sobą związane. Dewizą każdego producenta, a więc i każdego towarzystwa rolniczego, jest: obchodzić się bez pośredników, czyli być komersantem. Po długich debatach, propozycja niżegorodzkiego ziemstwa została przyjęta.

Ale na tem nie koniec. Jak wiadomo tow. jest dostawcą zboża do miejscowych magazynów wojskowych. Otóż w roku bieżącym z umówionych 95 tysięcy pudów żyta (po cenie 70 kop.) tow. do 1 czerwca dostawiło 64 tysięcy pudów, pozostaje zatem jeszcze przeszło 30,000. Tymczasem cena żyta podniosła się do 120 kop.; a że właściwie, po potrąceniu wydatków, tow. otrzymuje 70 kop. za pud, więc na dostawie pozostałej ilości żyta traci na czysto 50 kop. na pudzie. Wobec tego niektórzy członkowie zawioskowali, że należałoby zerwać się wypełnienia kontraktu, bodaj ze stratą kaucyi (16 kop. od puda). „Bo — powiadali — względem intendentury towarzystwo nie niesie żadnej moralnej odpowiedzialności, ponieważ ona sama, żądając kaucyi, nadała sprawie czysto handlowy charakter, a tym samym wyłączyła cień zobowiązania moralnego“; należy więc postąpić w danym razie tak jak to czynią zwykli dostawcy. P. Wojniłowicz, Czapski i paru innych gorąco przeciw temu zaprotestowali, twierdząc iż interes handlowy może i winien być prowadzony sumiennie. Wkońcu po długich rozprawach na ten temat większością głosów uchwalono wypełnić do końca umowę z intendenturą, przyczem niektórzy z ziemian, co w dostawie tej nie brali żadnego udziału, przyrzekli swą pomoc. Za długo może zatrzymywałem uwagę czytelników nad treścią rozpraw; możemy z nich jednak przyjść do ciekawych wniosków. Niezmiernie pouczającymi są teoretyczne rozprawy członków o moralnej stronie interesu i ich konsekwencyja; ci sami, którzy bronią czystości ziemiańskiej przed najazdem handlarstwa, jak się okazuje, są mniej skrupulatni moralnie, niż sami handlarze, ściślej mówiąc, używają dwóch miar etycznych stosownie do tego, czy spodziewanym jest zysk, czy strata. Wreszcie pomimo oporu wszystkie „handlowe“ projekty zostały ostatecznie przyjęte i w dodatku większością głosów, co jeszcze dowodniej wykazuje, że towarzystwo staje się coraz bardziej rzecznikiem kapitalistycznego ustroju. Jeszcze trwa walka starego patryjarchalizmu z nowym prądem, ale to już walka, „śród gruzów Grenady“.... Ale nie tylko w sferze interesów czysto ziemiańskich kapitalizm się rozwija. Tak pp. Czapski, Krahelski i Słowiński założyli przed kilku tygodniami towarzystwo wywozu spirytusu, a to w celu walki z handlarzami spirytusem, którzy nie należą do liczby obywateli

ziemskich. Każdy ze stowarzyszonych, ziemian, właścicieli browarów, wnosi 1000 rubli kaucyi za każde 100 tysięcy % spirytusu.

K. P. Rewera.

Równo. (Kor. „Głosu“). Radbym bardzo, przychylając się do waszej propozycji, przysłać wam wiadomości z Równego. Prawdę mówiąc, życie w takich miastach, jak nasze, jest tak monotonne, że donioślejszych faktów dopatrzeć trudno. Ogólne zjawisko, apatya inteligencji względem wszystkiego, niemającego związku z interesami osobistymi — występuje wybitnie i u nas. Wielu wymawia się, że nic ważnego zrobić nie można, a do drobnych prac nie warto się zniżać. Do naszej straży ochotniczej należą przeważnie światlejsi żydzi; nasza zaś inteligencja słyszeć o niej nie chce. Konie nieraz głodne bywają. Tymczasem pożary coraz częściej nawiedzają nas. Ubiegłe lato było okropne dla miasta. O negdaj (23 września starego stylu) znowu miał miejsce duży pożar na przedmieściu Wola; spaliło się do 20 domów i koszary artyleryjskie. Od 20-go maja, kiedy spłonęło 140 domów, mieliśmy już cztery duże pożary i kilka mniejszych. Połowa miasta leży w zgliszczach, lub odbudowuje się. Istotną plagą jest zamięłowanie w naszym budownictwie do dachów gontowych, niebezpieczniejszych nawet od strzech słomianych, zwłaszcza starych. Dachówka jest znakomitym materiałem dla miast i nie może być dosyć zachwalana. M.

— **Grodno.** *Kuryer Warszawski* podaje ciekawe sprawozdanie z procesu o obejście ukazu grudniowego z 1884 r. W r. 1879 pomiędzy plenipotentem podpułkownika Saburowa z jednej, a właścicielami wsi Chiniewiczze i Paco w drugiej, zawarto punktacyję o sprzedaży należącego do pana Saburowa majątku Sirotowszczyzna, w Słonimskim. W rok potem, na długo jeszcze przed ogłoszeniem praw z r. 1884 go, umowa powyższa została zerwana. Odszukano natomiast odpowiedniego w myśl prawa z 1864 r. nabywcę *de jure* i w imieniu tegoż oddano Sirotowszczyznę w zupełne posiadanie żydowi, niejakiemu Nowogródzkiemu, który, nie mogąc, ze względu na zakaz prawa, zawrzeć formalnego aktu sprzedaży, otrzymał natomiast od nominalnego nabywcę; kontrakt dzierżawny na lat 36, oblig zastawny na imię swej żony na 10,000 rs., prawo rąbania lasu w ciągu lat 35-u i nieograniczoną plenipotencyję do rozporządzania majątkiem. W liczbie dowodów, mających stwierdzić obejście wymienionego powyżej prawa i fikcyjność dokumentów, na mocy których N. już przez lat dziesięć prawie Sirotowszczyznę władał, znalazła się pomiędzy innymi plenipotencyja, wydana ongi przez fikcyjnego nowonabywcę niejakiemu Ginzburgowi, w której pierwszy wyraźnie przyznaje się do zamiaru kupienia Sirotowszczyzny — bez pieniędzy, i w tym celu upoważnia G. do zaciągania wszelkiego rodzaju pożyczek, mających obciążać wyłącznie ów majątek i zawierania jakichby co do tegoż majątku umów. Rzeczona plenipotencyja, łącznie z szeregiem innych dokumentów i zeznań świadków, dały sądowi podstawę — pomimo dzielnej obrony trzech najlepszych adwokatów grodzieńskich — do orzeczenia symulacyjności urzędowego aktu sprzedaży Sirotowszczyzny oraz fikcyjności wszystkich czterech dokumentów, nadających Nowogródzkiemu faktyczne prawo własności owego majątku. Wyrok powyższy w całej gubernii wywołał żywą sensacyję, zwłaszcza iż p. gubernator grodzieński zamierza wytoczyć wkrótce całą seryję podobnych pr. cesów.

— **Petersburg.** Dzienniki nową 3 procentową, pożyczkę rosyjską uważają za wielki tryumf ministra finansów. Dochodzi ona wprawdzie do skutku na mniej korzystnych warunkach, niż poprzednio projektowano, bo kurs wyznaczono 79 i 3/4, zamiast 81, a w ostatnich dniach zmniejszono pierwszą ratę z 25 na 20 procent, jednakże wobec niepomyślnych wogóle okoliczności rezultat, jeżeli nie zawiodą oczekiwania, uważać będzie można za świetny. Nowa pożyczka nie zwiększy ciężarów państwowych, zastąpi ona bowiem tylko pożyczki już spłacone. Ponieważ coraz bardziej utrwała się przekonanie, iż zapasów zboża absolutnie nie wystarczy, dzienniki podnoszą przeto myśl ogromnych zakupów rządowych w Ameryce, gdzie urodzaj przewyższył wszystkie oczekiwania. Posuchy jesienne w wielu miejscach szkodliwie oddziały na zasiewy tegoroczne, z tego powodu obawiać się można że i rok przyszły będzie niepomyślnym. — Zakaz wywozu zboża z oddzielnych miejscowości przez administracyję miejscową wywołuje dość powszechną krytykę, upatrującą w tem pogwałcenie solidarności państwowej. — Z miejscowości dotkniętych głodem dochodzą smutne wieści. Ludność gromadnie wychodzi za zarobkiem, handel w miastach upadł zupełnie. — Bank Wołżsko-kamski osarował na głodnych 30,000 rs., trzy inne wielkie banki po 12,500 rs. — W Moskwie ostatnimi czasy było dużo upadłości handlowych. — Znana w Warszawie pani Korwin-Piotrowska

podróżuje po Rosyi z odczytem o „technicznym wykształceniu kobiet“. Niedawno była w Kazaniu, gdzie miała odczyt z drukowanej książki i nie powiedziała absolutnie nic nowego, pomimo to jednak publiczności było dużo; prelegentka zarobiła trzysta rubli. Widać, że temat odczytu jest na czasie. — Teatr polski w Petersburgu i w tym roku nie cieszy się powodzeniem.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Zwłoki Parnella przewiezione zostały w d. 11 października do Dublina, gdzie wystawiono je w ratuszu. Około 3-ej po południu wyruszył długi na milę orszak pogrzebowy ku cmentarzowi Glasnevin. Za karawanem postępowali deputowani parnelistowscy wielu członków ligi narodowej i innych związków, burmistrz Dublina, oraz burmistrzowie innych miast. Olbrzymi tłum ludu przybył ze wszystkich stron Wielkiej Brytanii. Orszak pogrzebowy przybył na cmentarz po godzinie 5-ej. Przed spuszczeniem trumny do grobu tłumy przedelflowały przed nią z odkrytymi głowami. Tak opisuje telegram Agencji północnej ostatni akt czci, oddany przez lud irlandzki swemu wielkiemu wodzowi. Wobec niespodziewanej śmierci nawet ci, którzy sprzeniewierzyli się Parnellowi za życia, odczuli całą doniosłość straty.

Szczegóły życia Parnella znane są dobrze, znajdzie je zresztą czytelnik w artykule naszym: *Pierwsze lata działalności Parnella* (Głos, 1890 Nr. 48—52), ocenie jego systemu politycznego poświęcamy kilka uwag na innym miejscu. Tu pozostaje nam tylko zanotować, że nie odznaczał się nigdy mocnym zdrowiem, gorączkowa działalność podkopywała jego siły, bolesne zaś przejścia ostatniego roku dokonały reszty. W ostatnim swym liście do matki, której, jak otrzymują biografowie, zawdzięcza swe przywiązanie do Irlandyi, pisał on: „Zmęczony jestem, droga matko, temi wszystkimi przykrościami, zmęczony śmiertelnie, lecz wszystko to dla dobrej sprawy, a przy zdrowiu i pomocy przyjaciół mam nadzieję pokonać wszelkie trudności“. Ci, co mieli sposobność widzieć Parnella w ostatnich miesiącach jego życia, świadczą, że wyglądał schorowany i wówczas już można było przewidzieć rychły koniec.

Wrogowie Parnella nie darowali mu nawet po śmierci. Rozpuścili pogłoskę, że odebrał on sobie życie. Wskutek tego dokonano sekiy, która zadała kłam tendencyjnym wieściom.

Dziś trudno jeszcze ocenić bezpośrednie skutki zgonu Parnella. Czy poróżnione stronnictwa irlandzkie połączą się w jedno i kto stanąłby w takim razie na czele całego ruchu — nic jeszcze nie wiadomo. Parneliści wydali manifest, że prowadzić będą w dalszym ciągu politykę swego wodza i że nie chcą mieć nic wspólnego z jego prześladowcami. Opinia publiczna w Irlandyi jest obecnie tak wzburzona śmiercią wielkiego wodza swego, że kto wie, czy parneliści nie odniosą przewagi nad maccarthystami.

Do szeregu mów, wyjaśniających obecną sytuacyję polityczną przybyło znów kilka. Z powodu rozpoczęcia robót asenizacyjnych, przybyło do Marsylii 4 ministrów francuzkich. Freycinet wygłosił wielką mowę, zapewniającą o pokojowych usposobieniach francuzkiego rządu na zewnątrz i wewnątrz, oraz o zamiarze tegoż zajęcia się losem klas pracujących. Daleko ważniejszym jednak było przemówienie przybyłego z tegoż powodu do Marsylii burmistrza brukselskiego Balsa. Oświadczył on, że jest *upoważniony* przez króla do kategorycznego zaprzeczenia wszelkim pogłoskom o tajnym traktacie, zawartym jakoby przez Belgię z Niemcami. Belgija, jak utrzymywał mówca, zachowa zawsze neutralność, jak zachowała ją w r. 1870, jakkolwiek wówczas oskarżali ją Niemcy o sympatyję ku Francyi. Mowa Balsa wywołała burzę oklasków i jest istotnie faktem ważnym i charakterystycznym obecnego wzmocnienia potęgi francuzkiej. Pobyt ministrów w Marsylii zakłócony został nieprzychylnymi manifestacyjami ludności miejscowej, niezadowolonej jakoby z rządu, który nie dał zapomogi państwowej na cele asenizacyi miasta. Constans na wyjeździe oświadczył podobno, że Marsylija widocznie nie ma obecnie dobrej polityki, będzie ją wszakże miała w przyszłości.

Zajście w Panteonie odbyły się szeroko po całych Włoszech. Demonstracyje antyklerykalne przybrały poważne rozmiary, radykalni stawiają nawet żądania zniesienia praw gwarancyjnych, zapewniających papieżowi prerogatywy monarsze, i zmiany paragrafu, uznającego katolicyzm za kościół państwowy.

Z drugiej strony w Watykanie stronnictwo zagorzalców chciało zamknąć Panteon, jako „znieważony”. Ponieważ w tym kościele spoczywają zwłoki Wiktora Emanuela wywołałoby to okropny skandal. Papież nie zgodził się jednak na krok tak stanowczy i rozegrał tylko notę do mocarstw ze skargami na swą zależność od rządu włoskiego. Dzienniki klerykalne rzuciły podejrzenie, że zajścia w Panteonie wywołane zostały umyślnie przez radykałów włoskich za pośrednictwem przekupionych agentów.

Przedstawiony radzie państwa budżet austriacki na rok 1892 wbrew zapowiedziom dziennikarskim nie wykazuje niedoboru, a nawet przeciwnie drobniutką nadwyżkę kilkudziesięciu tysięcy złr. Pomyślny ten rezultat osiągnięty był przez to, że zamierzone subsydia państwowe na rzecz Wiednia nie wciągnięto do budżetu. Z powodu spóźnionej pory zaproponowano uproszczenie procedury rozpatrywania budżetu, mianowicie nie odsyłania niektórych jego części do komisji. Wniosek ten komisja budżetowa przyjęła większością 26 głosów przeciwko 1 (młodoczecha Kaizla).

Z Konstantynopola donoszą o niezwyklej łaskawości sultana dla posła angielskiego White'a i zapowiadają nową zmianę gabinetu. Miejsce Dzewada baszy zająć ma podobno Szakir basza.

W gabinecie bułgarskim zaszły nowe rozterki. Tonczew podał się do dymisy i ma zamiar stanąć w so-braniju na czele opozycji.

Goście czeszy przyjmowani byli w Zagrzebiu z wielką ostentacją. Na bankiecie wznoszono toasty za wielką, zjednoczoną Chorwacyją i za także Czechy.

W Marokko wymordowano szejków, sprzyjających Francji. Przewidują, że Francja będzie musiała zorganizować wyprawę wojenną przeciw Marokko.

Rząd rzeczypospolitej argentyńskiej sprzedał baronowi Hirschowi 1,000 mil kwadratowych na cele kolonizacji żydowskiej po 1,000 pesos za milę.

W Rio de Janeiro wybuchły zaburzenia, które jednak stłumiono niebawem.

Jednocześnie z Parnellem zmarł Pope-Henesty, który odniósł pierwsze zwycięstwo wyborcze nad stronnikiem Parnella w Kilkenny. Człowiek ten niczem się nie odznaczył. W tymże czasie zmarł William Smith, lord kanclerz skarbu i *leader* izby gmin. Był on bardzo pożytecznym członkiem gabinetu, jakkolwiek nie odznaczał się szczególnymi zdolnościami. Następcą jego w roli *leadera* ma podobno zostać Hiks-Beach.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Rozporządzenie rządowe.** W „Gazecie policyjnej” zamieszczono co następuje: „W nr. 211-ym „Warszawskiego Dniownika” został pomieszczony artykuł, zalecający specjalny sposób do zbierania ofiar na rzecz ludności, dotkniętej klęską nieurodzajów za pomocą rozsyłania przez osoby prywatne listów do swoich znajomych, z zaproszeniem ich do składania datków, a który to sposób pod nazwą (*boule de neige*), był już zastosowany w Paryżu. Ze względu, że w ogłoszeniu zarządu Towarzystwa Czerwonego krzyża wyraźnie wskazano, gdzie mianowicie ofiary na cel wymieniony mają być składane, oraz z uwagi, że wszelkiego rodzaju zbieranie ofiar przez oddzielne osoby bez zezwolenia rządu stanowczo jest wzbronione i nakoniec, ponieważ zbieranie pieniędzy w powyżej nadmieniony sposób, jak mi wiadomo, już jest w mieście zaprowadzone, przeto w celu zapobieżenia tego rodzaju niezgodnej z prawem działalności osób prywatnych podaję o powyżej wyłuszczonej do powszechnej wiadomości i nadmieniam, aby osoby, które zebrały już datki, złożyły je do kasy zarządu Towarzystwa Czerwonego krzyża i ażeby oddać wszelkiego rodzaju zbieranie ofiar bezwarunkowo zaniechały, pod odpowiedzialnością z § 48-go o karach”. — Idąc za wskazówkami, udzielonemi przez radę państwa, ministerjum spraw wewnętrznych, zamierza wprowadzić zasadę, że grunty włościańskie, pochodzące z uwłaszczenia na mocy prawa z r. 1861, oraz późniejszych, nadto dział leśne, będące w używalności włościan b. państwowych z mocy prawa z 13 (25) czerwca 1873 roku, wreszcie grunty nabyte przy pomocy kredytu Banku włościańskiego, skoro cała pożyczka Banku jest zapłaconą, nie mogą w żadnym razie przechodzić z rąk gromad wiejskich lub włościan pojedynczych do osób, nienależących do stanu włościańskiego. Na grunty włościańskie nie mogą spadać pretensje osób prostronnych, ani też osób stanu włościańskiego. Wreszcie grunty włościańskie nie mogą być przedmiotem jakichkolwiek operacji, jak handlo-

wych, zastawnych i t. p., ani też służyć za hypotekę dla zobowiązań, zaciągniętych bądź przed skarbem, bądź instytucjami publicznymi lub osobami prywatnymi. — Jak zapewniają „Nowosti” przedewszystkiem spekulantom, którzy wydzierżawili od skarbu, zarządu dóbr koronnych lub osób prywatnych znaczne obszary ziemi, następnie odstępują je kawałkami włościanom po znacznie wyższej cenie, mają być przedsięwzięte środki prawodawcze. — Ministerjum spraw wewnętrznych przygotowuje obecnie projekt ustawy o nadzorze nad handlem bydła i koni na jarmarkach. Projekt zmierza z jednej strony do usunięcia pośrednictwa faktorów i komisjonerów między kupującym a sprzedającym, z drugiej strony do obostrzenia odpowiedzialności sprzedającego zwierzęta chore, jeżeli o chorobie nie był kupujący zawiadomiony. W razie kupienia chorej sztuki, kupujący ma zawiadomić w ciągu 7 dni władzę, jeżeli choroba zaraźliwa, lub w ciągu 30 dni najpóźniej, jeżeli choroba zaraźliwa nie jest, a w takim razie sprzedający będzie musiał zwrócić pieniądze i będzie pociągnięty do odpowiedzialności. — W szeregu środków przeciwożniowych po wsiach, jakie mają być wprowadzone w drodze prawodawczej po skończonej wystawie pożarnej i naradach specjalistów, pokrywanie słomą dachów budynków mieszkalnych lub gospodarskich w obrębie miast i wiosek ma być ostatecznie zabronionem, a natomiast będzie można je pokryć oprócz blachy metalicznej, szyfru, kamienia, dachówki glinianej, gontu, drancy i papieru smołcowego, specjalną masą z mieszaniny, do urządzenia dostępnej dla najbiedniejszych właścicieli nieruchomości, a mianowicie: gliny z posiekana słomą lub wrzosem. — Z polecenia ministerjum spraw wewnętrznych przeprowadzoną jest w kraju zachodnim ankieta o liczbie handlarzy wędrownych, nawiedzających kraj rzeszcy. — Handlarze cudzoziemcy, którzy nie dowiodą, że mieszkali stale w danej miejscowości przynajmniej lat pięć, będą usunięci z granic Rosji. — Dziennik „Ruskaja Żizn” donosi, że przy tegorocznym poborze do wojska ma być zastosowana zasada, aby w okręgach, w których zabraknie rekrutów żydów, odpowiedzialnych przepisanych warunkom, brakującą liczbę dopełniono młodymi żydami, znającymi rzemiosła, choćby niezdatnymi do służby czynnej w kawalerii i artylerii fortecznej. — Departament lekarski powziął projekt zaprowadzenia nowej kontroli sanitarnej nad domami mieszkalnymi, pod postacią specjalnych książek, w których lokatorzy mogliby zapisywać skargi na właścicieli domów, niestosujących się do przepisów sanitarnych.

— **Kronika społeczna.** W Petersburgu, w najbliższym czasie rozpatrywane będą projekty nowych budowli na kolejach i robót publicznych, tak, aby jeszcze tej jesieni biedna ludność, cierpiąca z nieurodzaju, mogła korzystać ze źródeł zarobku. — Stosunki duchowieństwa katolickiego do wyższych władz rządowych mają być, jak donosi „Nowoje Wremia”, uregulowane przez nową ustawę, opracowaną przez departament wyznań obcych i złożoną już do rady państwa. — W myśl otrzymanych z Petersburga wskazówek, jak donoszą „Ruskija Wiedomosti” wypracowano już w kancelaryi generał-gubernatora finlandzkiego projekt przekształcenia miejscowego senatu, w duchu rozszerzenia władzy generał-gubernatora, krępowanej dotąd przez przywileje senatu. Do decyzji rady państwa wniesiono projekt przekształcenia kościelnych i gminnych powinności w kraju Nadbaltyckim. — Departament do spraw duchownych w ministerjum spraw wewnętrznych wydał polecenie, żeby poczynając od r. 1892, wszystkie akta kościelne, dotyczące wyznania protestanckiego, prowadzone były w języku ruskim. — W Londynie zawiązało się „Stowarzyszenie starozakonnych”, przewodniczącym jest p. L. Ekert, sekretarzem pan H. Braun.

— **Kronika ekonomiczna.** Jak oblicza „Ochotnicza Gazeta” wartość zwierzyny wywiezionej z Rosji w r. 1889 wynosiła około 1,500,000 rubli, gdy Prusy, równając się obszarem jednej z mniejszych gubernij ruskich, miały w tym roku ze sprzedaży biletów na polowanie i z wywozu zwierzyny za granicę do 6,500,000 rubli. — „Grażdanin” donosi, iż ministerjum kończy w r. b. drugą seryję kolei w gubernijach północno-zachodnich. Obecnie w gubernijach: wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej i mohylowskiej wytknięto około 600 wiorst linii przygotowywanych, które w ciągu kilku miesięcy mogą być z łatwością przemienione na koleje, pozostaje bowiem tylko ułożenie podkładów i szyn. — W początkach roku przyszłego ma być urządzona w Petersburgu wystawa okazów drobnego przemysłu gubernii petersburskiej, pskowskiej, nowogrodzkiej i wołgodzkiej. — W celu zbadania, o ile szkodliwym jest dla producentów rolnych pośrednictwo przekupniów i faktorów w handlu zbożowym redakcyja przemysłowego organu ministerjum skarbu „Wiestnik Przemysłowości i Torgowli” rozesłała wybitniejszym przedstawicielom tego handlu okólnik z prośbą o nadsyłanie wiadomości, dotyczących się sprzedaży zboża.

— **Oświata i szkoły.** Ziemstwa gubernij południowych przedstawiły ministerjum oświaty projekt nowych szkół o kursie 8 letnim. Pierwszy rok — klasa wstępna, pięć lat — wykład przedmiotów ogólnie wychowawczych, a pozostałe dwa lata byłyby poświęcone wyłącznie wykształceniu agronomicznemu. — W Petersburgu otwarte zostały pierwsze kobiece kursy handlowe. Przyjmowane są kandydatki, które ukończyły gimnazya żeńskie lub instytuty. Kurs ma być dwuletni.

— **Literatura i sztuka.** Leon hr. Tolstoj pisze obecnie nowy utwór na temat panującego obecnie w Rosji głodu. Autor, ze swego mistycznego punktu widzenia, wskazuje jako główną jego przyczynę brak w naszych czasach szczerzej i bezinteresownej miłości bliźniego. Podobnie jak w wydanych poprzednio „Owocach oświaty”, w najnowszej pracy hr. Tolstoja występują na scenę reprezentanci wszystkich klas społeczeństwa ruskiego. — P. O. Petrowskij zaczął wydawać na wielką skalę zakreślone dzieło p. t. „Finlandzkie pogranicze Rosji. — Nakładem p. K. Bartoszewicza wyszedł „Ilustrowany przewodnik po Pradze. — Księgarz Bamberg w Lublanie ma wydać poezyje Franciszka Presznera, najwybitniejszego z poetów słowiańskich. — Operę słowiańską p. t. „Teharski plemięzi” (Szlachta z Teharu) napisał dr. Benjamin Ipawec, lekarz w miasteczku St. Jurij. Muzyka ma tchnąć nawskroś narodowym duchem. — Pięćdziesięcioletni jubileusz działalności literackiej Maurycego Jokai'a ma być w roku przyszłym obchodzony uroczysto w Peszcie, pierwsze dzieło swoje, romans p. t. *Zsido sin* (Chłopiec żydowski), napisał on w 1842 r., mając wówczas lat 17, i od razu zyskał uznanie. — W r. z. we Francji wychodziło 5,011 wydawnictw peryjodycznych, w tej liczbie 1,164 republikańskich (w samym Paryżu 122), zachowawczych 499 (w Paryżu 39), oraz 3,448 czasopism, niezajmujących się polityką (w Paryżu 1,841). Przed laty 10-u ilość wydawnictw peryjodycznych we Francji wynosiła tylko 2,075, czyli mniej niż połowę obecnej ilości. — Władza wyższa zezwoliła na niższenie cen biletów do Teatru Letniego (w ogrodzie Saskim) na przeostawienia operetki i krotoczwili. — W dodatku do „Świata” wyszła ciekawa powieść Pokrowskiego p. t. „Blednow”, której akcja toczy się w znacznej części w Warszawie.

Kronika literacka.

Szkice napisał Mieczysław Czerneda (M. Bierzyński.) Nakładem T. Paprockiego i S-ki. Warszawa 1892 r.

M. Bierzyński (Czerneda) w niedługiej swej działalności pisarskiej nie zdołał rozwinąć zbyt wybitnego talentu literackiego. Tom, o którym mowa, zawiera całą spuściznę niedawno zmarłego autora. Kreśli on w szeregu obrazków średniowiecznych szereg portretów i wrażeń zaczerpniętych z prawdziwych nizin społecznych. Maluczy, dzieci, kalecy, uciśnieni i poniżeni — to ulubiony skład osobisty szkiców Czernedy. Dziecko się parzy na śmierć „W zamkniętej chacie”, pastuszek odbiera karę „Za psa”, od którego nie miał się obronić gęsi, umiera „Kancelista” — suchotnik, całe życie wlokący ciężar pracy nie dającej chleba — oto motywy tych nowel. Rozmach pióra Bierzyńskiego nie uderza świetnym artystycznym, ale, mimo względnej banalności poruszonych tematów, nierzadko zdradza głębszy i jakiś melancholijnie-objektywny zmysł autora. Tom szkiców — to plon niewesołych dumań zmarłego.

Kalejdoskop powieść w 2-eh t. napisał Józef Rogosz. Nakładem księg. T. Paprockiego. Warszawa 1892 r.

Powieść Rogosza daje nam nowy szmat życia galicyjskiego. Wątek jej rozsnuruje się wespół z stosunków fiskalizmu austriackiego, pseudo-autonomicznych swobód oraz niedołęzta obywateli galicyjskich. Przesuwają się przed oczyma czytelnika typy hulaki, szlagona — polityka, pisującego listy do gabinetów i znakomości politycznych; dorobkiewiczza, wiedeńsko-krakowskiego arystokraty itd. Wszystko to co prawda znamy już, ale nigdy nie jest dość nowych szczegółów. Bohaterem powieści jest dość niesympatyczna figura organicznika-przemysłowca, która zresztą korzystnie odbija na wyżej skreślonym tle. Wykończenie charakteru i scen ogółem poprawne; maniera artystyczna Rogosza, trochę gawędziarsko-szlachecka, francuzka intrygująca jest zapewne dość znaną czytelnikom.

OGŁOSZENIA GŁOSU.

Tylko do 1-go stycznia 1892 r.

Pięć tomów SPENCERA

(Zasady Socjologii 2 tomy, Instytucje obrzędowe, Instytucje polityczne i Instytucje kościelne)

za 4 rs.

Przesyłka opłaca się za 5 funtów stosownie do odległości

Skład główny w księgarni T. Paprockiego i S-ki, Nowy-Świat 41.

Dostawca Dworu Cesarsko-Austryjacko-
Węgierskiego.



EXSICCATOR

Niszczący grzybek drzewny i osusza wilgot
raz na zawsze i t. p.

Broszurkę niezbędną dla każdego budują-
cego wysyłam franco i bezpłatnie.

Wynalazca Inż.-techn. **G. Ritter.**

Królewska 39, w Warszawie.

Dr. Medycyny Adolf Kozerski, odbyw-
szy praktykę szpitalną jako hospitant
kliniki profesora Kaposi'ego w Wie-
dniu, udziela porady lekarskiej w cho-
robach skórnych i wenerycznych rano
do 9^{1/2}, po południu 4—6. Od 1—2
przyjmuje wyłącznie kobiety.

Próżna Nr. 3.

Lekcje zbiorowe
Nauk przyrodniczych

PROWADZI

Dr. Wanda Szczawińska.

Żórawia 15, m. 12, od godz. 4-jej—6 je.

Poszukuje zajęcia

Człowiek w średnim wieku, żonaty, któ-
ry przez lat kilka pracował w fabryce,
pełnił obowiązki woźnego w Redakcyi,
dozorecy i t. p. Wiadomość w redak-
cyi *Głosu*.

Dwa pokoje pojedyncze

z całodziennym utrzymaniem zaraz,
tamże obiady gospodarskie. Hoża 11,
m. 7.

Wychodzi codziennie, nie wyłączając niedzieli.

Istniejący rok setny dziewiętnasty

DZIENNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNO-LITERACKI

„GAZETA WARSZAWSKA”

z bezpłatnym dodatkiem tygodniowym p. t.

„Korespondent Rolniczy, Handlowy i Przemysłowy.”

Jedyny większy dziennik wychodzący codziennie zrana i wysyłany na pocztę
przed południem — jest więc pismem najwcześniejszym dochodzącym na prowincję
i z wielkich gazet warszawskich najtańszem.

TREŚĆ PISMA:

Artykuły wstępne, poświęcone sprawom krajowym i zagranicznym. — Artykuły luźne z dzie-
dziny objawów życia społecznego, ekonomicznego rozwoju kraju, rolnictwa i t. p. — Kores-
pondencje z różnych stron Królestwa Polskiego i Cesarstwa, korespondencje stałe z Kra-
kowa, Lwowa, Pragi, Wiednia, Berlina, Paryża, Rzymu, Londynu i t. p. — Felieton, po-
święcony sprawom teatru, muzyce, sprawozdaniom ze sztuk pięknych. — Kroniki miesięczne
z Paryża i Wiednia. — Sprawozdania z ruchu książkowego i literackiego w kraju i za gra-
nicą. — Notatki literackie, jako wskazówki dla chcących się zapoznać z ruchem literackim. —
W felietonie powieści i nowele oryginalne i tłumaczone. — Kronika sądowa. — Telegramy:
własne i Agencji Północnej. — Sprawozdania z ruchu handlowego i przemysłowego. — Ce-
ny zboża i produktów rolniczych na rozmaitych rynkach Królestwa, Cesarstwa (Odessa, Liba-
wa, Ryga) i zagranicy.

Warunki prenumeraty „Gazety Warszawskiej“

W Warszawie: rocznie 9 rubli, półrocznie rs. 4 kop. 50, kwartalnie rs. 2 kop. 25, mie-
sięcznie 75. Za odnośnienie do domu 5 kop. miesięcznie.

Na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3 — łącznie
z przesyłką pocztową.

Przedpłata przyjmuje się od każdego 1-go miesiąca według kalendarza nowego stylu. Za
wiersz ogłoszenia petitem lub jego miejsce 8 kopiejek. Wiersz reklamy 20 kop.

ADRES: Redakcja „Gazety Warszawskiej“ Warszawa, Krakowskie-Przed-
mieście Nr. 2.

Redaktor i Wydawca St. Lesznowski.

Każdy prenumerator ma prawo wydrukować darmo co kwartał ogłoszenie objętości 10-ciu
wierszy petitowych.

W ciągu roku wychodzi 343 razy.

KSIĘGARNIA

Teodora Paprockiego i S-ki

W WARSZAWIE,

41. Nowy-Świat 41.

Księgarnia nasza przyjmuje prenumeratę na wszystkie pisma, dzie-
ła peryodyczne i gazety codzienne, w kraju i za granicą wychodzące. Po-
siada wielki wybór dzieł w językach: polskim, francuskim i niemieckim.
Dostarcza dzieła wszelkiej treści i we wszystkich językach, po cenach
oznaczonych przez wydawców. Załatwia specjalnie wszelkie zlecenia osób
na prowincyi zamieszkałych, zakłada kantory prenumeraty pism.

Przyjmuje zamówienia na wszelkie druki, rejestra gospodarskie, ma-
teryjały piśmienne; podejmuje się pośrednictwa wszelkich robót drukarskich,
po cenach najprzystępniejszych.

Informuje i zakłada czytelnie i biblioteki; zakupując książki hurtowo,
po cenach najniższych, dostarcza takowe w oprawie lub bez oprawy.

Wogóle podejmuje się załatwiania danych jej zleceń, w zakres księ-
garstwa wchodzących, z całą sumiennością i akuracnością. Katalogi, pro-
spekta oraz numery okazowe pism wysyła bezpłatnie.

Wyszły z druku:

GAWĘDY EKONOMICZNE

Przełożył i uzupełnił

ZYGMUNT HERYNG

str. 118. Cena kop. 30

Wyszła z druku nakładem redakcji „Głosu“ i jest do nabycia
w księgarniach

nowa powieść Edwarda Bellamy'ego

Sposób d-ra Heidenhoffa

Cena kop. 50.

Tegoż autora:

W roku 2000.

Wydanie 4-te z portretem autora.

Cena kop. 60.